

Gilbert i George, szaleni
geje zakochani w zbrodni

Tomaszowski: Nie wstydę się,
że poparłem Jaruzelskiego

Kapitan Wrona - dlaczego
potrzebujemy bohaterów

26

18

14

PRZE KROJ

„Jesteśmy jak prostytutki”

- Marcin Prokop o cyrku
polskich celebrytów

NR 45 (3463) / 7 LISTOPADA 2011 / CENA 3,99 ZŁ
WWW.PRZEKROJ.PL w tym 8% VAT

7



INDKS
371424

ISSN 0033-2488
4 5

Marta Panincka



To nie PAH karmi głodne dzieci w Polsce i na świecie.
Robią to ludzie tacy, jak Ty. Ludzie, dzięki którym świat staje się lepszy.

Wpłać dowolną kwotę, z dopiskiem PAJACYK, na nasze konto. Szczegóły www.pajacyk.pl



www.pah.org.pl/jeden-procent



PRZEKROJ

Założył w roku 1945 w Krakowie redaktor Marian Elle

„Przekrój” w sieci

OLAF SZEWCZYK

Stasiek stracił rachubę, w ilu lokalach sprawdził dziś licznik gazu. Bolały go łapy. Wpadał w spleen. I czuł, że zaczyna fiksować.

– Ja z gazowni – mruknął, nie podnosząc wzroku znad urzędowego kajetu, gdy otworzyły się kolejne drzwi. – Stan poboru spisuję. Po chwili dotarło doń, że otworzyła mu para bosych stóp. Stasiek Brontozaur powoli uniósł łeb. Stało przed nim dziewczę ubrane tylko w indiański pióropusz, maki-jaż przypominający maoryskie tatuaże i kolczyk w kształcie jelonka Bambi w lewym sutku.

Zaczerwieniony Stasiek odwrócił szybko wzrok: – Ja z gazowni... – wybąkał. – Do Chrabąszcza Jana... Liczniki spi... – tu przerwał Stasiek w pół słowa, bo uśmiechnięta nimfa wciągnęła go delikatnie, acz stanowczo za łapę do środka. Szli długo wąskim korytarzem obitym szkarłatnym aksamitem. Mrok rozprasały z rzadka kandelabry. Stasiek, struchlały, milczał jak i ona. Znał rozkład mieszkań w tym mrówkowcu. Takiego korytarza nie miało prawa w nim być. W końcu doszli do komnaty, w której smutny brunet z włosami pod brylantyną grał na saksofonie.

– Czekaliśmy na ciebie, Staśku – powiedziała miękko dziewczyna. Wiemy, że nas nie pamiętasz... jak zawsze. Ale Pablo i ja... – Ma na imię Hermina – szepnął zniechęca Pabla, po czym podjął przewaną bluesową balladę. – Pablo i ja jesteśmy twoimi starymi przyjaciółmi. Jedynymi, jakich masz. Zaraz wszystko pojdziesz. Pablo! Saksofonista sięgnął po lśniący puchar przypominający mszalny kielich. Płyn wydawał się płynnym złotem, pachniał piżmem i konwalią. Smakował dziwne znajomo. I już po chwili Stasiek pamiętał znów więcej i rozumiał więcej. Także to, dlaczego wołał zapomnieć i wybrać inne, proste życie.



Świat bez Facebooka i Twittera, bez oszałamiających wizji z www.przekroj.pl. Bez niepokojących imaginacji słanych na redakcja@przekroj.pl. *Hard real.*

W TYM TYGODNIU

NUCĄC „RAZ DOKOŁA, RAZ DOKOŁA”, WSZECHŚWIĄTECZNIE NIE PISZEMY...

...że w Halloween **pełnił Ziobro list**, w Zadzuszki zaś Ziobrze Komitet Polityczny PiS postawił ultimatum. Bo nudne to jak wąty pływki świecy w trzewiach dyni i wolelibyśmy, by najmędrzy Prezes zachował się jakoś niekonwencjonalnie, łącząc wielość tradycji z dobitną nowoczesnością. A co nam się marzy? Ot, gdyby tak najstarsi, pamiętający jeszcze Poro-zumienie Centrum druidzi złożyli z Ziobry ofiarę pod świętym dębem, miejsce kaźni poświęcił ojciec Tadeusz, a ślady zatarł

rzecznik dyscypliny poseł Karski, rozjeżdżając wszystko do imentu cypryjskim meleksem, to byłby naprawdę nowy początek. A „zaczynanie od początku”, wiemy od Hannah Arendt, to sól wszelkiej wielkiej polityki.

...że **nowych wojowników Prezesowi przecie nie zabraknie**. Ot, taki Maciejowski, stołeczny radny, wiceprzewodniczący komisji kultury, który w dzień Wszystkich Świętych, gdy kraj cały świętował lądowanie kapitana Wrony, cieszył się po swojemu. Cytujemy:

„Teraz te szuje z po będą piał, jaki to wielki sukces ryżego”. Zuch! Zuch, Panie Prezesie! To już sznyt nie węgierski nawet, lecz mitycznie protowęgierski, sznyt Ojczulka Attyli. Jeszcze paru takich i w bój można ruszać. Na Pola Katalaunjskie.

...że o po i innych Wizygotach napiszemy może za tydzień, bo chwilowo trochę nam się nie chce.

...że **właśnie przypomnieliśmy sobie, iż to dziś, 7 listopada, przypada rocznica Wielkiej Rewolucji Październiko-**

wej. Korzystając zatem z okazji, wciąż licznym jej wielbicielom składamy życzenia w języku Wielkiego Cthulhu, ich niewątpliwego sojusznika: Ph'nglui mglw'naff Cthulhu R'lyeh wgh'fnaghtagn! I dziańdzia wasza glań, towarzysze.

...że **tydzień znów zapowiada się świątecznie i burzliwie**, więc to jeszcze nie koniec, choć – powiada pewien Nauczyciel – „Every word is like an unnecessary stain on silence and nothingness”.

MAREK RACZKOWSKI



LAST MINUTE KRZYSZTOF PŁYTA

Co grozi tym, którzy stawiają szefowi partii zarzuty? Wyrzuty.



NOWA LANCIA ESENCJA STYLU.



Lancia Ypsilon



Lancia Delta



Lancia Thema



Lancia Voyager

Z nową gamą Lancia zrozumiesz różnicę. Odkryj doskonałą harmonię stylu i funkcjonalności w bardzo atrakcyjnych cenach. Poznaj włoski kunszt połączony z zaawansowaną technologią. Sprawdź nową, szerszą gamę modeli: od stylowego samochodu miejskiego, poprzez zaawansowany technologicznie kompakt oraz luksusową limuzynę, po siedmioosobowy rodzinny van.

Nowa Lancia. Zasluzyleś na nią. Zapraszamy do salonów!



lancia.pl

TEMAT Z OKŁADKI

- 7 **Edytę Herbuś możesz mieć już za pięć tysięcy złotych. Inne znane z telewizji twarze za talon na dzinsy i lampkę wina.** Choć o zarobkach celebrytów krążą legendy, wielu sprzedaje się za grosze. Tekst: Joanna Dargiewicz Rożek i Agata Jankowska

PRZED WSZYSTKIM

- 12 **I nie opuszczę cię aż do śmierci...** Ta piękna przysięga nabiera nowego, makabrycznego sensu, gdy mąż i żona wolą się pozabijać, niż rozjeść. O wojnach domowych pisze Małgorzata Świąchowicz
- 14 **Dlaczego Polacy tak bardzo potrzebują bohatera?** – fenomen kapitała Wrony bada Sylwia Czubkowska
- 16 **Ten kryzys zaczął się przez demokrację i tylko dzięki niej może się zakończyć.** Szef greckiego rządu próbował zrzucić odpowiedzialność za problemy kraju na społeczeństwo. Nawet za cenę usunięcia Grecji ze strefy euro i trzęsienia ziemi w całej Unii Europejskiej. Tekst: Łukasz Wójcik

ROZMOWA PRZEKROJU

- 18 Ja ufam Jarosławowi Kaczyńskiemu, który jest świetnym taktikiem. On jest trenerem, ja – zawodnikiem tej drużyny – mówi **Jan Tomaszewski** w rozmowie z Robertem Mazurkiem

CYWILIZACJA

- 20 **Nie trzeba wielomilionowych inwestycji i sztabów ludzi, by odnieść światowy sukces i zbić fortunę jako twórca przebojowych gier.** Polacy już to wiedzą i skutecznie eksplorują nowe e-ldorado – co sprawdził Olaf Szewczyk
- 23 **Też pytanie!**
- 24 **Chciwość i brak skrupułów lokalnych urzędników mogą doprowadzić do zniszczenia prehistorycznych malowideł w hiszpańskiej jaskini Altamira** – zwiadamia ze zgrozą Anna Piotrowska

KULTURA

- 26 **Dwóch odzianych w garnitury angielskich dżentelmenów z nienagannymi manierami od czterech dekad**

NA POZĄTEK

Boniecki, do kąta!

No i stało się. Książd Adam Boniecki zdecydowanie przeholował. Nie potępił w czambuł diabła Palikota, stwierdził, że walka o krzyż w sejmowej sali nie ma sensu, za to sens ma rozdział Kościoła od państwa. Nie przyłączył się do kampanii przeciw Nergalowi w tvp. Zapewne uznał, że to eksces, w szerszej skali bez znaczenia. Tyle tylko, że polski Kościół nie zwykł dzielić włosa na czworo, ale walić równo. Uderzyli zatem przełożeni wioletniego redaktora naczelnego „Tygodnika Powszechnego” ze Zgromadzenia Księżych Marianów, zakazując mu medialnych wypowiedzi i publicznych wystąpień. Trafili jednak rykoszetem w samych siebie, po raz kolejny w ostatnim czasie kompromitując polski Kościół. Zaczyna się od podstaw,

od żerowania na naiwności wiernych oraz indoktrynacji dzieci. Przykład sprzed tygodnia: mój 10-letni syn dowiedział się, że Halloween to święto satanistów, a niewinna zabawa jest grzechem. Bez zbędnych komentarzy. Kończy się na wszechwładzy ojca Rydzyska, którego żadne kościelne władze dotąd nie przywołały do porządku. Albo na słynnych homiliach, kiedy duchowni ubolewali, że pod Smoleńskiem rozbił się samolot z prezydentem, a nie premierem. To jest w porządku, potępić za to trzeba księdza Bonieckiego, za nic mając jego wiek, dorobek, autorytet. A że oznacza to cenzurę? Kościół i tak wie lepiej. I jak tu się dziwić odpływowi wiernych? Nie wszyscy przecież na dobre odzyczaili się od myślenia.

tworzy dzikie, niepoprawne, agresywne, wizjonerskie obrazy. W przededniu wystawy w gdańskim csw Łaźnia z **Gilbertem i George'em** w ich domu na Fournier Street, czyli w miejscu, które oznaczyli jako centrum wszechświata, spotkał się Stach Szablowski

30 Największy przemówca kina niezależnego przyjedzie do Warszawy na **2. Amerykański Festiwal Filmowy z „Czarnym koniem”**, swoim najnowszym dziełem. Z **Toddem Solondzem** rozmawia Karolina Pasternak

LEKTURA

- 32 O międzydrojskich wścibskich babach, nieszerokim czytelniku i widmie pisarskiego Smoleńska z **Michałem Witkowskim**, który wydał właśnie świetną powieść „Drwal”, rozmawia Marcin Sendek

OTWÓRZ OCZY

- 36 **Kronikarz epoki techno, zdobywca Nagrody Turnera, aktywista walczący o prawa gejów, fotograf**, który pokazał kserokopie w najszacowniejszych muzeach świata. Pomędzy lotnikami, na kilka dni przed otwarciem wystawy w Zachęcie, **Wolfgang Tillmans** opowiada Jakubowi Świrczowi o swojej pracy i współczesnej Polsce

RECENZJE

- 40 **Muzyka:** Herma o pograniczach stylu
- 41 **Film:** Pasternak pod wielkim wrażeniem „Chłopca na rowerze”
- 42 **Książki:** Wakar chyli czoła przed biografią Mikołajskiej
- 43 **Gry:** Szewczyk o jesiennej kłęsce urodzaju
- 44 **Znowu muzyka:** Herma zapowiada xx edycję festiwalu **Ars Cameralis**

ZAWSZE W PRZEKROJU

- 45, 46, **Różnorodności**
- 47, 50 z kryżówką, Kronikami popkultury Orbitowskiego, Lewomysłnie Kurkiewicza, Ładnymi rzeczami Salwy i kuchnią Gesslera
- 48 **Dziennik** Jerzego Pilcha
- 49 **Stopklatka**
- 3, 23, 50 **Raczkowski**

PRZEKROJ

ADRES REDAKCJI:
ul. Ślusarska 9/2B, 30-702 Kraków,
tel. 12 394 73 00, fax 12 394 73 11
Oddział w Warszawie:
ul. Nowogrodzka 47 A, 00-695 Warszawa,
tel. 22 525 99 33, fax 22 525 99 88,
www.przekroj.pl
e-mail: redakcja@przekroj.pl
lub imie.nazwisko@przekroj.pl

P.O. REDAKTOR NACZELNY:

Donat Szyller

ZASTĘPCA REDAKTORA NACZELNEGO:

Piotr Witek

SEKRETARZE REDAKCJI:

Joanna Grochowska, Marcin Kijowski

SEKRETARIAT:

Edyta Matusz-Bulińska, Karolina Mazur,
tel. 12 394 73 32

PRZED WSZYSTKIM: wydarzenia@przekroj.pl,

Mariusz Nowik (szef),
Łukasz Wójcik (zastępca szefa),
Agnieszka Fiedorowicz,
Małgorzata Świąchowicz,
Joanna Woźniczko-Czczott;
stałe współpracują:

Joanna Dargiewicz-Rożek, Agata Jankowska,
Marcelina Szumer

CYWILIZACJA OD ŚRODKA: nauka@przekroj.pl,

Olaf Szewczyk (szef), Anna Piotrowska,
stałe współpracują: Piotr Stanisławski,
Irena Cieślinska, Piotr Kossobudzki,
Paweł Franczak

KONIEC Z KULTURĄ: kultura@przekroj.pl,

Jacek Wakar (szef),
Marcin Sendek (zastępca szefa),
Tadeusz Nyczek, Karolina Pasternak,
Jacek Tomczuk; stałe współpracują:
Kuba Dąbrowski, Łukasz Drewniak,
Sebastian Frąckiewicz, Mariusz Herma,
Anna Jastrzębska, Ola Salwa, Jacek Sieracki,
Jarosław Szubrycht, Bartek Winczewski

ROZMAITOŚCI, KRZYŻÓWKI:

rozrywka@przekroj.pl, Marcin Pieszczyk;
stałe współpracują: Kaliber 45

PRACOWNIA GRAFICZNA:

Wojtek Piechoński (szef),
Anna Kondek, Karolina Kowalska,
Wojciech Brdej, Łukasz Lelonkiewicz,
Marcin Hernas

FOTODYSCJA: foto@przekroj.pl,

Michał Okła, Karolina Sekuła

KOREKTA:

Alicja Listwan, Monika Ples, Katarzyna Rydło

PROJEKT GRAFICZNY:

Kasper Skirgajło-Krajewski

ARCHIWUM: Dominika Sok

OBROBKA ZDJEĆ, PRZYGOTOWANIE

DO DRUKU: Paweł Wójcik

STRONA INTERNETOWA I IPAD:

Marcin Cichoński, Marcin Kijowski (szefowie)

REDAKTORZY: Monika Hrycko-Skowron,

Tomasz Róg, Maria Włodkowska

GRAFICY: Katarzyna Bazela, Jakub Bieda,

Martyna Marzec

MULTIMEDIA: Anna Bajorek, Mikołaj Tocki

GRUPIA

Wydawnictwo Przekrój Sp. z o.o.
ul. Ślusarska 9/2B, 30-702 Kraków,
tel. 12 394 73 00, fax 12 394 73 11
Oddział w Warszawie:
ul. Nowogrodzka 47 A, 00-695 Warszawa,
tel. 22 525 99 55, fax 22 525 99 88

DYREKTOR WYDAWNICTWA:

Artur Rumiński

PROMOCJA I MARKETING:

promocja@przekroj.pl,
Jakub Maszkowski, Milena Ostółka

BIURO REKLAMY:

Presspublica Sp. z o.o.
Ul. Prosta 51, 00-838 Warszawa
tel. 22 629 8614, 621 4869,
fax. 22 621 46 58, 625 61 57
(od poniedziałku do piątku),
KIEROWNIK ZESPOŁU SPRZEDAŻY:
Filip Weichert – 22 463 01 88
reklamainfo@presspublica.pl

DYREKTOR DYSTRYBUCJI:

Elżbieta Maciążek

DRUK: RR Donnelley

ARTYKULY NIEZAMÓWIONYCH NIE ZWRACAMY.

Redakcja zastrzega sobie prawo do zmian

i skrótów w nadesłanych artykułach i listach.

PRZED WSZYSTKIM

Celebrycy reklamą pasieni

Edytę Herbuś możesz mieć już za pięć tysięcy złotych. Inne znane z telewizji twarze za talon na dzinsy i lampkę wina. Choć o zarobkach celebrytów krążą legendy, wielu sprzedaje się za grosze



Marcin Prokop poprowadzi wszystko. Nawet amerykański radiowóz

JOANNA DARGIEWICZ AGATA JANKOWSKA

Wszyscy artyści to prostytutki – śpiewał kiedyś Kazik i miał sporo racji. Każdemu z nas zdarza się robić rzeczy tylko dla pieniędzy. Nie ma świętych krów – nie owijają w bawełnę Marcin Prokop, jedna z największych gwiazd tvn-u, współprowadzący popularny show „Mam talent” i poranny program „Dzień dobry tvn”. I dodaje, że jeśli ktoś z grona celebrytów upiera się, iż nigdy nie zostanie konferansjerem albo nie wystąpi w reklamie, to po prostu kłamie. – Nawet dyżurni kontestatorzy show-biznesu w rodzaju

Kuby Wojewódzkiej czy Karoliny Korwin-Piotrowskiej, którym zdarza się obśmiewać innych za sprzedawanie się na boku, sami ulegają pokusie, jeśli tylko stawka jest odpowiednia. Nie ma w tym nic złego. Po co stwarzać wokół tego aureł hipokryzji? – pyta.

Sprytna gwiazda w Polsce jest w stanie zarabiać na wszystkim. Zagra w reklamie, kilka razy w miesiącu poprowadzi imprezę zamkniętą, wystawi parę rachunków za pojawienie się na eventach organizowanych przez producentów kosmetyków, ubrań czy prezentację nowych perfum, zostanie ambasadorem ekskluzywnego klubu spa, dzięki czemu będzie mogła bezpłatnie korzystać z zabiegów

piękniejszych, a jako twarz wybranej marki samochodowej dostanie na rok do testowania superauto. Jednak celebrytów, którzy w tak świadomy sposób kierują swoim wizerunkiem, jest w Polsce niewielu. Zdecydowanie więcej mamy takich, którzy na imprezę w modnym klubie przyjadą zamówioną na własny koszt taksówką w nadziei, że ktoś pstryknie im zdjęcie i zamieści na jednym z plotkarskich portali.

Ugrać coś za darmo

– Kilka dni temu odebrałam telefon i usłyszałam: poproszę dwie celebrytki na event – opowiada Małgorzata Herde, menadżerka między innymi Edyty Herbuś, Oli Kwaśniewskiej →

Rysunek na okładce: Marta Głowińska
www.studiolustracji.com
na podstawie zdjęć East News (5)

PRZED WSZYSTKIM – należy dokonać przelewu na konto: Wydawnictwo Przekrój Sp. z o.o., ul. Nowogrodzka 47 A, 00-695 Warszawa, Allior Bank SA 80 2490 0005 0000 4600 1542 1792 i wysłać dowód wpłaty faksem: 22 525 99 48 lub e-mailem: prenumerata@przekroj.pl. Cena prenumeraty w 2011 r.: rocznej – 166,40 zł, półrocznej – 83,20 zł. Informacji udziela Dział Dystrybucji tel. 22 525 99 48. Prenumerata przez Ruch SA – RUCH SA prenumerata krajowa – 804 200 600, prenumerata zagraniczna – (+48) 22 532 88 16; 22 532 88 23, www.ruch.pl

OSTĘP NA STRONIE WWW I WERSJA NA IPADA
Cena abonamentu na iPadie i w Internecie: tygodniowy – 3,69 zł, kwartalny – 30,75 zł; roczny (z rabatem 30 proc.) – 99 zł. Do wykupienia na www.przekroj.pl oraz w App Store. Informacje: wsparcie@przekroj.pl

→ i Rozalii Manciewicz, aktualnej Miss Polonia. – W krajach Europy Zachodniej coś takiego byłoby nie do pomyślenia. Na przykład we Włoszech czy we Francji znane osoby decydujące się na uczestniczenie w otwarciu butiku otrzymują bardzo wysokie wynagrodzenia. Tymczasem firmy działające w Polsce zawsze próbują ugrać coś za darmo. Ja staram się te standardy zmienić, dlatego przez wiele osób organizujących eventy jestem uważana za osobę mało sympatyczną – dodaje Herde.

Przepis firm na udaną imprezę jest prosty: na scenie stawia się znaną postać i zaprasza tłum ludzi z show-biznesu, fotoreporterzy zjadą się sami. To daje gwarancję, że zdjęciami i relacjami z wydarzenia choć przez chwilę będą żyć portale takie jak Plotek, Kozaczek czy Pudelek. A jeśli uda się ściągnąć na imprezę gwiazdy z wyższej półki, jest też szansa na to, że fotorelacja znajdzie się na ostatnich stronach lifestyle'owych magazynów. Jednak nie każdy celebryta, który bierze udział w takich eventach, może liczyć na wynagrodzenie.

Podopieczne Małgorzaty Herde za darmo uczestniczą tylko w nielicznych imprezach. To najczęściej bale charytatywne, pokazy znanych projektantów mody. Za ich udział w innych wydarzeniach trzeba płacić. Ile?

– Kiedyś próbowaliśmy nawiązać współpracę z Edytą Herbuś – opowiada anonimowo jeden z marketingowców. – Jej menadżerka postawiła jasne warunki. Oprócz usług, które mielibyśmy świadczyć za darmo, opłata za uczestnictwo Edyty w firmowych eventach miała

wynosić pięć tysięcy złotych. Zrezygnowaliśmy, bo na rynku cały czas jest sporo celebrytów, którzy są dużo tańsi – zaznacza. – Na przykład chyba najpopularniejsza obecnie aktorka serialowa w zamian za jeden zabieg spa miesięcznie zgodziła się nie tylko zostać naszą ambasadorką, ale zapowiedziała, że z chęcią będzie uczestniczyć we wszystkich dodatkowych imprezach.

Bieda polskich gwiazd

Maja Sablewska, jurorka pierwszej edycji nadawanego w stacji tvn muzycznego show „X Factor” i ambasadorka marki Rimmel, przyznaje, że ponad 90 procent zaproszeń wyrzuca do kosza. – Chodzę tylko na te imprezy, na których prezentowane są marki, z którymi się utożsamiam – tłumaczy. – Niestety nie wszyscy ludzie pracujący w polskim show-biznesie mają świadomość, że na wizerunku można zarabiać. Dlatego w jednej imprezie często uczestniczą osoby, które za samo pojawienie się zainkasowały po kilka tysięcy złotych, a obok nich uśmiechają się ci, którzy zadowolili się darmowymi dzinsami. Zawsze znajdzie się też spora grupa, która nie dostała nawet spodni. Firmom taki układ jest na rękę. A gwiazdom brakuje agentów, którzy w ich imieniu negocjowaliby stawki uczestniczenia w takich eventach – opowiada Sablewska.

Kilka tygodni temu sporym echem odbiło się otwarcie pierwszego w Polsce sklepu znanej amerykańskiej marki odzieżowej. Na imprezie stawili się wielu celebrytów. Oczywiście

zobowiązała się do uczestnictwa w organizowanych przez tę markę imprezach. Gdy nie pojawiła się na otwarciu motoryzacyjnego eventu VIP Cross, Mercedes zagroził, że zerwie z nią umowę. Ciężarną aktorkę uratowała wymówka o fatalnym tego dnia samopoczuciu.

– W takich sytuacjach prezesi zarządzający dużymi pieniędzmi pokazują, kto tak naprawdę jest górą – wyjaśnia profesor Tomasz Szlendak, socjolog kultury z Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu. – A poza tym podnosi swój status społeczny, wysyłając w świat sygnały, że mogą kupić niemal każdego.

Menadżerka kilku celebrytów przyznaje otwarcie: – Polskie gwiazdy są biedne. Niemal wszystkie spłacają kredyty hipoteczne. Dlatego możliwość darmowego pozyskania fajnego auta, a nawet kilku ciuchów z dobrymi metkami traktują jako bardzo dobry kontrakt. Przykre to jednak, bo firmy oszczędzają tylko na polskich sławach. Jakoś na to, by Paris Hilton przespacerowała się po katowickim Silesia City Center, znalazło się 100 tysięcy euro – ironizuje.

Kto na której półce?

Większość polskich celebrytów nie ma nawet co marzyć o takich stawkach. Dlatego łapią się wszystkich zajęć, które mogą przynieść im zysk. Poważnym źródłem dochodów stała się dla nich konferansjerka i zabawianie gości na imprezach zamkniętych. Parają się tym niemal wszyscy bardziej i mniej znani, a jedynym kryterium wyznaczającym wysokość gazy jest popularność. I tak Kinga Rusin, Szymon Majewski i Wojciech Mann za uświetnienie wieczoru biorą 35 tysięcy złotych. Natasha Urbańska za wrześnieowy występ z półplaybacku na imprezie firmy farmaceutycznej zarobiła 20 tysięcy. Drugie tyle zgarnęła ekipa oświetleniowców i dźwiękowców. Maryla Rodowicz za koncert podczas integracyjnej imprezy w drogim ośrodku konferencyjnym pod Warszawą zarobiła 45 tysięcy. Tomasz Kammel za poprowadzenie imprezy inkasuje 20 tysięcy złotych. Na brak pracy nie narzeka. Dwa tygodnie temu w Katowicach otwierał ekskluzywny klub nocny, w niedzielę 6 listopada w Bydgoszczy wystąpił jako konferansjer podczas targów ślubnych. Jednak o tej części swojej zawodowej działalności nie chce rozmawiać.

Na niższej półce znajdują się Hubert Urbański, Grażyna Torbicka, Magda Molek i Krystyna Czubówna. Ich można mieć już za 15–16 tysięcy złotych. Znana podróżniczka Martyna Wojciechowska i naczelny „Playboya” Marcin Meller oczarują publiczność za 14 tysięcy,

a noc zakupów z Moniką Richardson to wydatek 12 tysięcy złotych.

– Celebryci są trawieni chorobą – ocenia medioznawca i socjolog profesor Wiesław Godzic ze Szkoły Wyższej Psychologii Społecznej. – Bardziej niż pieniędzy potrzebują światła reflektorów, poklasku, kolejni fanów żądnych ich podpisów. Nie jest ważne, czy zarobią 500 złotych, czy 5 tysięcy. Wezmą wszystko.

Majewski kontra Wojewódzki

Nazwana przez Marcina Prokopa dyżurną konstatorką show-biznesu Karolina Korwin-Piotrowska przyznaje, że nie pogardziłaby ciekawą propozycją zagrania w reklamie. – Wszystko jest kwestią produktu, konwencji kampanii. Musiałabym to bardzo mądrze rozegrać, aby nie stracić na swojej wiarygodności. Na razie jednak nie dostałam żadnej oferty, która spełniałaby moje oczekiwania – wyznaje Korwin-Piotrowska, która ostatnio zdobyła popularność jako jurorka programu „Top Model”.

Z kolei Kuba Wojewódzki, który już od połowy sierpnia reklamuje smartfony sprzedawane w sieci komórkowej Play, nawet podczas konferencji prasowej zorganizowanej tuż przed startem kampanii nie ukrywał, dlaczego zdecydował się na udział: – W pracy zawsze po pierwsze cenilem sobie profesjonalizm, po drugie profesjonalizm, a po trzecie duże pieniądze – stwierdził z rozbrajającą szczerością Wojewódzki. Nie jest tajemnicą, że dzięki kontraktowi z operatorem wzbogacił się o 2,5 miliona złotych. Choć kwota jest ogromna, to jednak nie rekordowa. Szymon Majewski za użyczenie swojej twarzy bankowi PKO BP wynegocjował 800 tysięcy więcej. Po odprowadzeniu

podatku VAT zostanie mu 2,55 miliona złotych. Za dwuletni kontrakt. To oznacza, że miesięcznie na zachęcaniu do zakładania kont zarabia około 106 tysięcy złotych brutto to i jest najlepiej opłacanym pracownikiem PKO BP. Nie ma się do niego co równać nawet prezes banku Zbigniew Jagiełło ze swoimi 90 tysiącami brutto miesięcznej pensji. Choć trzeba zaznaczyć, że Szymon Majewski zobowiązał się do nagrania w ciągu dwóch lat ponad 40 reklam telewizyjnych, kilkunastu spotów radiowych i zgodził na uczestniczenie w licznych sesjach zdjęciowych, które są wykorzystywane w prasie. I jak zaznacza, choć propozycja banku od samego początku była atrakcyj-

Edyta Herbuś za darmo uczestniczy w nielicznych imprezach. To pokazy mody, bale charytatywne...

na finansowo, to i tak miał dylemat. – Od razu zdawałem sobie sprawę z tego, że w ten sposób odcinam część swojej twarzy i doklejam do konkretnego produktu – wyjaśnia Szymon Majewski. – Zaryzykowałem jednak, bo widzę po swoich autorytetach, że udział w kampanii nie musi oznaczać utraty osobowości. W reklamie wystąpili Wojciech Mann z Krzysztofem Materną, Janusz Weiss, a nawet jej zatwardziały przeciwnik Krzysztof Majchrzak. Dlatego jak trafię za to do kabaretowego piekła, to będę się bronił, że to nie moja wina, bo Majchrzak był pierwszy i mnie rozgrzeszył – śmieje się.



Edyta Herbuś uczyniła swego wizerunku Samsungowi. Ale reklamowała też buty sportowe

Fot. Adam Jankowski/Reporter

Zaznacza jednak, że nie jest osobą, która za wszelką cenę dążyła do tego, by powiększyć majątek grą w reklamie.

– Odmówiłem firmowania swoją twarzą i nazwiskiem batonów czekoladowych Pawelek, choć bardzo lubię ich smak. Nie skorzystałem z propozycji mBanku – wymienia odrzucone oferty Szymon Majewski. Za to w PKO od lat sam ma konto i – jak twierdzi – od dawna obserwowal, jak bank staje się instytucją coraz bardziej skostniałą. Majewski był przekonany, że jest w stanie pomóc wyprowadzić go na tory bardziej nowoczesne. →



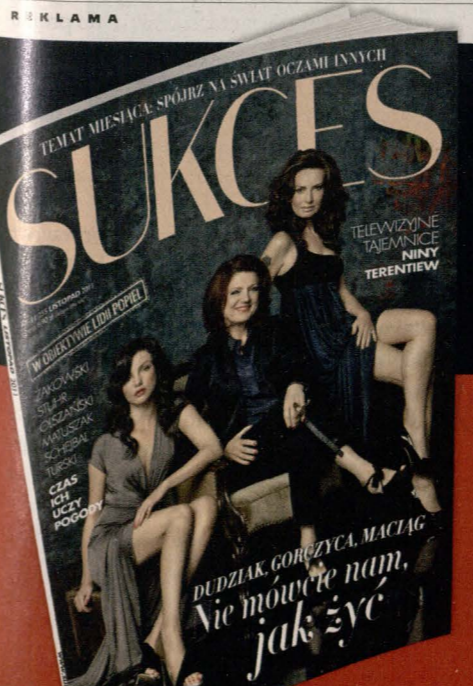
Czasem z parcia na celebrytę wynikają śmieszne związki. Czy wiarygodna jest Kasia Cichopek w reklamie Barbie?

ście nie za darmo, a za zniżkowe talony na zakup ubrań. 200 złotych upustu. Taką ofertę dostała między innymi prowadząca popularny program w tvn topowa aktorka i znana dziennikarka.

– Dla mnie było to upokarzające. Ale później w relacjach internetowych widziałam, że sporo gwiazd jednak skusiło się na ten 200-złotowy upust – ironizuje jedna z celebrytek.

Talon zniżkowy nie zobowiązuje, ale umowa o dużej wartości będzie już egzekwowana bezwzględnie. Przekonała się o tym kilka miesięcy temu aktorka Anna Mucha. W zamian za możliwość korzystania z supernowoczesnego mercedesa, wartego prawie 800 tysięcy złotych,

Fot. Krzysztof Jarosz/Forum



NAJLEPSZE STRONY SUKCESU

Listopadowy numer magazynu „Sukces” możesz kupić w kioskach, salonach prasowych, na Przekroj.pl oraz w App Store (aplikacja „Przekroj”)



OBCYM WSTĘP WZBRONIONY
Nietolerancja w wersji light



PIEKNI KILKU-DZIESIECIOLETNI
W obiektywie Lidii Popiel



NINA TERENTIEW
Jej telewizyjne tajemnice

Zobacz więcej:
Przekroj.pl
i App Store

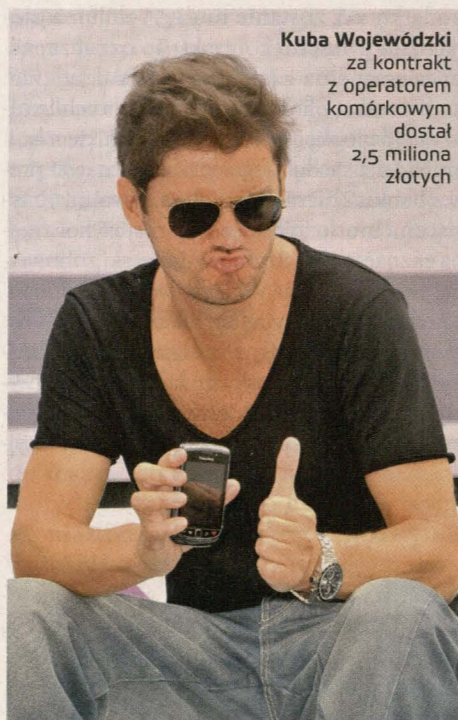
→ - Poza tym pomyślałem, że jak stracić reklamowe dziewictwo, to w fajny sposób. W PKO mam możliwość robienia spotów w swoim stylu, nie muszę udawać kogoś, kim nie jestem - wyjaśnia Majewski.

Bum-trach, mała z telewizji

Nikogo nie muszą też udawać w reklamie wspomniani już Wojciech Mann i Krzysztof Materna, promując Kredyt Bank. Wiele w tej kampanii z popularnej kiedyś audycji prowadzonej przez ten duet pod tytułem „Za chwilę dalszy ciąg programu”. W pierwszym spocie Mann grający biznesmena wyjaśnia współpracownikowi: „Reklama to musi być bum-trach! Żeby logo było, telefony!”. I dodaje: „Mała!”. Współpracownik, czyli Materna, dobrze wie, o jaką małą chodzi, więc dopowiada: „Najlepiej z telewizji, żeby coś śmiesznego powiedziała”. Te słowa dokładnie oddają zasadę konstruowania reklam z znanymi twarzami.

Bo w Polsce panuje przekonanie, iż celebryta jest dobry na wszystko, zauważa profesor Tomasz Szlendak, socjolog kultury z UMK. - Reklam, w których występują przedstawiciele show-biznesu, jest obecnie tak dużo, że trudno spamiętać, kto co promuje. Tym bardziej że często w kampaniach biorą udział aktorzy, piosenkarze i kabareciarze, których nazwiska kojarzą tylko nieliczni - dodaje profesor.

Ile osób potrafi odpowiedzieć na pytanie, jakiej marki farbę do włosów reklamuje Katarzyna Glinka, a jakiej Anna Dereszowska? Kto odgadnie, ambasadorkami której firmy kosmetycznej są Urszula Dudziak i jej córka Kasia? Jakie kremy do twarzy promuje Krystyna Janda, a jakie Joanna Brodzik? Kto jest w stanie spamiętać produkty reklamowane przez Małgorzatę Sochę, która raz jest twarzą między innymi magazynu lifestyle'owego „Flesz”,



Kuba Wojewódzki za kontrakt z operatorem komórkowym dostał 2,5 miliona złotych

FOT. Radosław Nawrocki/Forum

a innym razem dezodorantu Rexona, Eurobanku, samochodu BMW, ubrań Tiffi czy gry komputerowej „The Sims”?

Czasem z tego parcia na celebrytę wynikają śmieszne powiązania. Bo na ile wiarygodna jest Katarzyna Cichopek zachęcająca do kupowania lalek Barbie? I kto uwierzy Karolinie Malinowskiej, bylej modelce, a obecnie jednej z głównych recenzentek stylizacji polskich gwiazd, że robi zakupy w wypełnionym chińskimi ubraniami centrum handlowym Maximus pod Warszawą?

- W marketingu żadna marka nie wygra dzięki jednorazowemu wsparciu znanej osoby - przestrzega Marek Biskup z instytutu badawczego

Millward Brown SMG/KRC. - Takie związki przynoszą pożądane efekty tylko wtedy, gdy trwają długo i konsument może się do danej osoby przyzwyczaić. Tak jak wszyscy przywykliśmy do Marka Kondrata od wielu lat reklamującego produkty banku ING. On stał się prawdziwym mecenasem tej instytucji.

Spostrzeżenia Marka Biskupa potwierdzają badania przeprowadzone przez firmę doradztwa marketingowego Rubikom Strategy Consultants. Wynika z nich, że w grupie prawie 900 konsumentów odwiedzających największe i najpopularniejsze galerie handlowe spora część miała poważny problem z trafnym połączeniem celebryty z reklamowanym przez niego produktem. Ludzie mieli kłopot z przypomnieniem sobie, do czego zachęcali Adam Małysz, Doda, Kasia Kowalska, Anna Maria Jopek, Maria Peszek czy Joanna Brodzik. Tylko 38 procent skojarzyło dobrze rozpoznawalnego przecież Huberta Urbańskiego z reklamą banku Millennium.

Portowe dziwki i kurtyzany

Jednak przedstawiciele firm reklamowych bronią idei wykorzystywania celebrytów w kampaniach reklamowych. Iwo Zaniewski, współzałożyciel i dyrektor kreatywny agencji reklamowej PZL, przyznaje, że choć sięganie po gwiazdy jest narzędziem bardzo prymitywnym, to jednak ciągle skutecznym. - Konsument nabiera większego zaufania do produktu, jeśli do jego kupna zachęca ktoś znany - przekonuje.

Choćby tak znany jak rodzina prezydencka. Od kilku tygodni w telewizji możemy oglądać spoty, w których Jolanta Kwaśniewska, spacerując z psem po parku, namawia Polaków do łykania tabletek chroniących organizm przed przeziębieniem. Na łamach „Faktu” do promocji suplementu dołączył również Aleksander Kwaśniewski. Stwierdził: „To jest lek, który bierze cała nasza rodzina. Po prostu jest dobry i sprawdzony”. Plotkarskie portale podają, że Jolanta Kwaśniewska na tej reklamie zarobiła pół miliona złotych.

- Można się z tą świadomością boksować, ale prawda jest taka, że w dzisiejszych realiach 90 procent z nas: prezenterów, aktorów, pseudodziennikarzy, to rzemieślnicy prowadzący działalność usługową dla ludności. Jesteśmy tam, gdzie jest robota - przyznaje Marcin Prokop. - Sztuką jest takie dobieranie propozycji, żeby nie czuć się jak tania portowa dziwka, tylko jak luksusowa kurtyzana.



Każdy dzień smakuje lepiej.



DELIKATESY

PILNE: 91,7 % KLIENTÓW KUPUJĄCYCH PO RAZ PIERWSZY W ALMIE JEST ZASKOCZONYCH NISKIMI CENAMI*

Najwyższe stawki w polskiej reklamie

- Szymon Majewski - 3,3 miliona złotych (PKO BP)
- Kuba Wojewódzki - 2,5 miliona złotych (Play)
- Marek Kondrat - 1 milion złotych (ING)
- Edyta Górniak - 1 milion złotych (Soraya)
- Edyta Herbuś - 950 tysięcy złotych (Samsung), 300 tysięcy (jako ambasadorka butów Reebok)
- Danuta Stenka - 650 tysięcy złotych (kremy Garnier), 500 tysięcy (Eurobank) i najprawdopodobniej kolejne 500 tysięcy za udział w reklamie Delicji Szampańskich
- Małgorzata Foremniak - 550 tysięcy złotych (Soraya)
- Jerzy Stuhr - 540 tysięcy złotych (Raiffeisen Bank)
- Krystyna Janda - 500 tysięcy złotych (Eurobank, Lipton, Soraya)
- Dorota „Doda” Rabczewska - 500 tysięcy złotych (lody Koral)
- Michał Żebrowski - 400 tysięcy złotych (Eurobank, Enea)
- Kasia Glinka - 400 tysięcy złotych (farby do włosów Garnier)
- Anna Dereszowska - 380 tysięcy złotych (farby do włosów Palette)
- Katarzyna Figura - 360 tysięcy złotych (Eurobank), 300 tysięcy (frytki McCain)
- Piotr Fronczewski - 320 tysięcy złotych (Getin Bank)
- Maja Sablewska - 300 tysięcy złotych (Rimmel)
- Natasza Urbańska - 250 tysięcy złotych (lody Koral)
- Dorota Wellman - 200 tysięcy złotych (Activia) - swoją gaźę przekazała na cele charytatywne

www.iPad Oplacalo się? Poznaj kulisy kampanii reklamowej PKO BP z udziałem Szymona Majewskiego na www.przekroj.pl oraz w „Przekroju” na iPadzie

I nie opuszczę cię aż do śmierci

Ta piękna przysięga nabiera nowego, makabrycznego sensu, gdy mąż i żona wolą się pozabijać, niż... rozejść

MAŁGORZATA ŚWIĘCHOWICZ



for: Heinz Krimmer/Volter/Enns/Forum

Rzucił się pod pociąg około 10.20 – podaje godzinę Tomasz Sukiennik, szef Prokuratury Rejonowej w Zduńskiej Woli. 40-latek, który pochodził z pobliskiego Izabelowa, zginął na torach 24 października. Policja szybko ustaliła, że maszynista był trzeźwy, jechał z dozwoloną prędkością. Nie miał jednak szans wyhamować.

– Rutynowo, jak w każdym przypadku śmierci – wyjaśnia prokurator – policjanci jadą z wiadomości rodzinę.

Podjeżdżają pod dom w Izabelowie. Pukają. Cisza. Odjeżdżają. Wracają. Tak trzy razy. Drzwi zamknięte, choć Urszula G., żona tego, który rzucił się pod pociąg, powinna być w domu. Dopiero gdy dziecko wraca ze szkoły, można dostać się do środka. W pokojach pusto. Jeden z policjantów schodzi do piwnicy. Urszula G. leży we krwi, nie żyje. Wiodąca hipoteza śledczych głosi, że mąż zabił żonę, później odebrał sobie życie.

Wiosną tego roku w Sieradzu też zginęło małżeństwo: mąż chwycił pistolet P-64, zastrzelił żonę, później siebie. Wszyscy wokół wiedzieli, że to nie był zgodny związek: awantury,

rękoczyn, on miał już wyrok za znęcanie się nad żoną. A z państwem G. z Izabelowa ani policja, ani sądy nie miały wcześniej roboty – żadnych doniesień o przemoc, żadnych skarg.

Prokurator Sukiennik mówi, że w tej sprawie jest jeszcze sporo rzeczy do zbadania – między innymi to, czy ktoś z małżonków nie było pod wpływem alkoholu, może narkotyków? W takich sytuacjach analizuje się każdy szczegół, bo przecież trudno przyjąć, że ludzie wolą się pozabijać, niż rozejść.

On z granatem, ona bez oka

Wiosną tego roku sąd w Toruniu skazał Sławomira G., który cudem tylko nie rozerwał żony granatem. Byli w trakcie rozwodu i podziału majątku. On – emerytowany wojskowy. Ona – nauczycielka w grudziądzkim więzieniu. Wychodziła z pracy, kiedy podszedł i koniecznie chciał omówić kwestie finansowe. Próbowała schronić się w więziennej dyżurce, ale wpadł za nią z granatem w rękę. W wybuchu kobieta straciła rękę, nogę i oko. Sąd wymierzył mężowi karę 25 lat więzienia, ale mecenas Maria Orfin, pełnomocniczka ofiary, mówi

„Przekrojowi”, że spodziewa się apelacji. Nie ma więc jeszcze finału.

Jak podaje Główny Urząd Statystyczny, najwięcej małżeństw rozpada się między piątym a dziewiątym rokiem od ślubu, choć nieraz do dość mają się też pary ze stażem 30-letnim. A wiadomo, im dłuższy staż, tym więcej wspólnego majątku. Także większe prawdopodobieństwo, że małżonkowie zdążyli się bardzo do stanu posiadania przywiązać. Stąd kłótnie przy podziale i czasami – tragedie.

Światło na ten problem rzucają najnowsze badania amerykańskich psychologów, opublikowane w zeszłym miesiącu w magazynie „Journal of Couple & Relationship Therapy”. Wynika z nich, że gdzie jest więcej pieniędzy, jest i więcej kłótni. Jason Carroll z Brigham Young University przebadał 1734 pary, pytał o rolę, jaką odgrywają w ich życiu dobra materialne, i sprawdzał jakość relacji między małżonkami. Okazało się, że mniej trwale i mniej zgodne są te pary, w których przynajmniej jedno z małżonków jest materialistą.

Tymczasem w Polsce materialistów nie brakuje. I to się mści, nawet po rozwodzie.

36-letni Jarosław S. z miejscowości Rusiec w województwie łódzkim wściekł się, gdy dostał pozew w sprawie podziału majątku. Pustakiem rozwalił samochód bylej żony, wybił okna w domu. Potem rzucił się na nią z nożem. Ona jednak zdążyła uciec. Jej nowy partner nie był tak zwinny. Jarosław S. ugodził go nożem, raz, drugi – i poszedł się powiesić.

Wielojęzyczny portal FamilyLaw, informujący o polskim prawie rodzinnym i obyczajach związanych z zawieraniem i rozwiązywaniem małżeństw, uprzedza wszystkich, którzy chcieliby ożenić się z Polką lub wyjść za mąż za Polaka: będą kłótnie. I to najczęściej o pieniądze. Najbardziej konfliktowy okres to pierwsze pięć lat po ślubie lub czas tuż po urodzeniu się pierwszego dziecka. Przy czym, jak twierdzą specjaliści od rozwiązywania małżeńskich sporów, którzy mieli okazję pracować w międzykulturowych środowiskach – „nasze” konflikty są jednymi z najtrudniejszych do rozwiązania.

– Nikt nie chce stracić, bo to może obniżyć poczucie własnej wartości. Szczególnie u mężczyzn – przybliży przyczyny wojen o kasę Tomasz Majewski, psycholog kliniczny, terapeutą i konsultant Ogólnopolskiego Pogotowia dla Ofiar Przemocy w Rodzinie „Niebieska Linia”. – Mniej pieniędzy oznacza nie tylko obniżenie statusu materialnego, ale i społecznego. Sama perspektywa utraty powoduje strach. Ludzie, którzy boją się, że będą mieć mniej, niż mają, mogą żyć we frustracji i napięciu.

Ani o podział obowiązków rodzinnych, ani o sposób wychowywania dzieci Polacy nie są w stanie aż tak się pokłócić jak o kwestie finansowe – podkreślają eksperci z portalu FamilyLaw. Gdy dwa lata temu CBOS przeanalizowało domowe kłótnie, okazało się, że awantury o pieniądze toczą się aż w siedmiu na 10 rodzin.

Uderzyła go, udusił ją

Wydawałoby się, że na brak porozumienia najlepszym jest rozstanie. Co roku do sądów trafia 100 tysięcy pozwów rozwodowych, ale założenie sprawy to dopiero początek. Pięć lat – to rekord oczekiwania na finał, jaki pamięta Robert Ofiara, mecenas prowadzący kancelarię w Warszawie. Po rozwodzie trzeba jeszcze zamknąć kwestie dotyczące podziału majątku – a te mogą się ciągnąć jeszcze dłużej. Rekord Polski to 14 lat. – Nie byłoby problemu, gdyby małżonkowie dorobili się na przykład domu i mieszkania, a po rozstaniu jedno chciało wziąć dom, drugie natomiast mieszkanie – mówi mecenas Janusz Lassota z rzeszowskiej kancelarii Lassota i Partnerzy. Niestety, rozwody w praktyce nie przebiegają tak gładko.

Paweł M., zastępca dyżurnego operacyjnego w toruńskiej komendzie straży pożarnej, po tym jak ostatecznie rozmówił się z żoną, przyszedł na dyżur. Koledzy zauważyli, że jest kompletnie wykończony. Ciało żony musiał owinąć budowlaną folią, związać smyczą, wywieźć z domu. Chciał je porzucić w krzakach, ale później uznał, że lepiej będzie zakopać. Był dobry w zacieraniu śladów, pamiętał, żeby nawpychać żonę piasku pod paznokcie, bo kiedy ją dusił, broniła się, drapała. Jak tłumaczył, gdy już zabójstwo się wydało – chciał tylko porozmawiać z nią o rozstaniu i podziale majątku. Kończyli stawiać dom, więc on wymyślił, że dobrze by było dociągnąć budowę do końca i wtedy sprzedać. Wszystko spisał na kartkach, dał żonie do przeczytania, ale ona ponoć nie chciała ani czytać, ani się rozwodzić, ani dzielić domem. Ponoć uderzyła go w twarz. Wtedy i on ją uderzył. Ale tak, że upadła. Złapał za szyję, żeby nie wstała, długo trzymał.

Oni walczą, one się wstydzą

Z raportu „Jak Polacy się kłócą”, który opublikowało Centrum Mediacji Partners Polska, wynika, że przynajmniej co trzeci z nas nie jest skłonny do ugody, a o swoją własność walczy do upadłego. Ta zaciekłość sprawia, że sądy mają coraz więcej pracy – w pierwszych sześciu miesiącach ubiegłego roku musiały rozpatrzyć 6,4 miliona spraw, w tym półroczu już o 200 tysięcy więcej. Przybywa głównie rodzinnych i cywilnych. – Jedyna nadzieja w tym, że Polacy zaczną częściej korzystać z mediacji – mówi Lucyna Skalecka-Włodarczyk, prezes Stowarzyszenia Mediatorów Polskich. Coś już drgnęło. W sądach okręgowych pięć lat temu było niewiele ponad tysiąc mediacji, w ubiegłym roku – 1535. W sprawach rodzinnych pięć lat temu odnotowano 270, rok temu 1092. Wciąż jednak Polacy nie do końca wiedzą, na czym owa mediacja polega i gdzie szukać pomocy. Zresztą jak wynika z raportu CMPP, ponad połowa z nas wstydziłaby się zdradzać swoje tajemnice obcej osobie, a co piąty wolałby się trzymać zasady, że osobiste problemy trzeba załatwiać samemu. A w niektórych przypadkach mediatorzy potrafią zdziałać cuda – na przykład w sprawach karnych mają niemal 90-procentową skuteczność, co znaczy, że dziewięć na 10 spraw, w których uczestniczą, kończy się ugodą. W sprawach rodzinnych tak dobrze nie jest – ich skuteczność według wyliczeń Ministerstwa Sprawiedliwości sięga 40 procent.

– Najtrudniej prowadzi się mediacje w sprawach, w których są silne emocje – przyznaje

prezes Skalecka-Włodarczyk. – Gdy zwaśnione strony łączyły wcześniej piękne uczucia, a później górę wzięły wyłącznie negatywne.

On otruty, ona spalona

Śmierć nie jest szczególnie rzadko wybieranym sposobem na uniknięcie podziału majątku. Przy czym nie zawsze jest to działanie w amoku, bez zastanowienia się, bez planu. Rok temu wpadła Grażyna J. ze Szczercowa w województwie łódzkim, która robiąc mężowi kanapki do pracy, regularnie dodawała do nich truciznę. Gdy zmarł nagle, w czasie przerwy na drugie śniadanie, koledzy z firmy sądzili, że to zawał.

Nikt też od razu nie wpadł na właściwy trop, gdy w płonącym samochodzie zginęła żona 38-letniego przedsiębiorcy z Konstanczyna Łódzkiego. Jednak ostatecznie wyszło na jaw, że mąż celowo spowodował wypadek i żonę – uwięzioną w samochodzie – podpalił. Dostał dożywocie. W ubiegłym miesiącu sąd apelacyjny podtrzymał wyrok.

– Nic, tylko pieniądz i pieniądz – wzdycha Izabela Filipowicz-Żaroń, sołtyśka Celestynowa koło Otwocka. Odkąd w telewizji mówi się o ogólnosiwiatowym kryzysie, w ludziach nastroszenie na pieniądze jeszcze jakby większe. – Z powodów majątkowych są tu zdraśnięcia i spory w niejednej rodzinie – mówi sołtyśka. Choć – na szczęście – bez takiego finału, jaki mieli jesienią 2009 roku podczas wyjazdowego posiedzenia sądu w sprawie o podział majątku. Do Celestynowa z Otwocka przyjechały wtedy: sędzia, praktykantka, protokolantka. Był też obecny adwokat 76-letniej Stanisławy M., bo ta chora, poruszająca się na wózku inwalidzkim kobieta chciała zapisać majątek swoim dzieciom.

Ale były mąż miał jej to za złe, nie chciał się zgodzić i na rozprawę przygotował argumenty: dwa pistolety TT, 34 naboje, kanister z benzyną, suche gałęzie. Koniec sprawy: trzy osoby zginęły, trzy zostały ranne, dom poszedł z dymem. A mściwy 77-latek nie stanie za to przed żadnym z sądów powszechnych. Zmarł.

Dyrektorka szkoły podstawowej w Celestynowie, Janina Skrzypiec-Nowak, zorganizowała zajęcia „pedagogizujące” dla rodziców uczniów. Ku opamiętaniu w kwestiach majątkowych...

– Nie było zainteresowania – przyznaje dyrektorka. W szkole ma 457 uczniów, na zajęcia przyszło tylko 12 rodziców.

www iPad Jak rozwiązać konflikt ze współmałżonkiem? Obejrzyj rozmowę z Moniką Jędrzejewską, mediatorem rodzinnym, na www.przekroj.pl oraz w „Przekroju” na iPadzie

Wronomania na start



Tak hartowała się sta-
- ze snopów iskie-
powstał nowy heros

Prezydent gratuluje i obiecuje odznaczenie. LOT chwali się nim na konferencjach prasowych. Uwielbiają go internauci. W ciągu kilkunastu godzin z nieznanego pilota narodził się **KAPITAN TADEUSZ WRONA** - nowy bohater narodowy

SYLWIA CZUBKOWSKA

Amerykanie mają Batmana, Supermana i Kapitana Amerykę. My mamy Kapitana Wronę. Pierwszy polski superbohater, jak kaže konwencja, narodził się w dramatycznych okolicznościach i dosłownie spadł nam z nieba.

1 listopada, godzina 14.35. Nad Warszawą od ponad godziny krąży boeing 767 z 231 pasażerami na pokładzie. Załoga zgłosiła wieży kontroli lotów na Okęciu, że nie może wysunąć podwozia. Służby na pasach startowych w stanie gotowości. Karetki, wozy strażackie. Nerwy. Przekleństwa. Czasem ciche modlitwy. Wstrzymano ruch lotniczy, zamknięto okoliczne ulice. Do parkanu Okęcia przykleiły się tłumy gapiów. Samolot będzie siadał na brzuchu.

Kontroler z wieży wyrzuca z siebie krótkie: „powodzenia”. Maszyna obniża lot. Siada gładko, w snopach iskiek szoruje kadłubem o betonowy pas. Nieruchomieje. Nikomu z pasażerów nie spadł nawet włos z głowy.

W tym momencie superbohater za sterami kolosa stracił anonimowość. „Pilotował kapitan Tadeusz Wrona. Doświadczony pilot z 20-letnim stażem i 15 tysiącami godzin lotów za sobą” - oświadczył rzecznik LOT-u Leszek Chorzewski. Jeszcze nigdy na Okęciu nie było takiego przypadku, by maszyna siadała bez podwozia. - Mistrzowsko wykonany manewr w bardzo trudnych warunkach - mówi Krzysztof Zalewski z magazynu „Lotnictwo”. - Nawet ludzie, którzy z lotnictwem nie mają nic wspólnego, musieli to docenić. Szczególnie po naszych ostatnich katastrofach.

Od tej chwili zaczyna się szal wokół kapitana Wrony. Media prześcigają się, kto pokaże jego lepsze, bardziej wyraźne zdjęcie. Kto pierwszy porozmawia z żoną, dziećmi czy kolegami z aeroklubu. Na Facebooku momentalnie powstaje kilkanaście stron fanowskich, które do wieczora zdobywają w sumie kilkanaście tysięcy członków. Wszyscy, jednym tchem i jednym głosem, mówią: „kapitan Wrona”, dodają: „nowy bohater”.

Nowy nie tylko dlatego, że pierwszy raz o nim słyszymy. - Także pod tym względem, że pozytywny, niezwiązany z wojnami, powstaniem, martyrologią, tylko dobrze wykonaną pracą. Polski bohater w amerykańskim stylu - ocenia socjolog kultury profesor Urszula Jarecka z Instytutu Filozofii i Socjologii PAN.

Zwykły facet z sąsiedztwa

Fenomen kapitana Wrony pokazuje, jak bardzo Polakom brakuje wzorca i autorytetu. Ci z zamierzchłej przeszłości już się ograli. Poza tym najczęściej kończyli tragicznie, ginąc w obronie ojczyzny lub religii.

Ze współczesnymi wcale nie jest lepiej. Lech Wałęsa? Cieszy się większą sławą i poważaniem za granicą niż u kraju. Pułkownik Ryszard Kukliński? Zbyt niejednoznaczny - dla jednych bohater, dla innych zdrajca. Może Czesław Miłosz? Tylko naiwni jeszcze wierzą, że cała Polska jest dumna ze swego noblisty. Zbyt dobrze pamiętamy gorszący

spór o to, czy po śmierci należy mu się miejsce w Krypcie Zasłużonych na Skałce.

- Choć potrzeba posiadania bohaterów, herosów, na których można się wzorować, jest naturalna i obecna we wszystkich kulturach, to my od lat mieliśmy z tym problemy - uważa antropolog kultury profesor Waldemar Kuligowski z Uniwersytetu Adama Mickiewicza w Poznaniu.

- Po śmierci Jana Pawła II mówiło się o odejściu ostatniego żyjącego autorytetu moralnego - podkreśla profesor Urszula Jarecka. - Potem oczywiście był jeszcze Adam Małysz i cała „małyszomania”, ale i to się skończyło. Polakom ewidentnie brakowało więc bohatera. I to bohatera w tradycyjnym tego słowa znaczeniu, czyli wzoru cnót - tłumaczy profesor Jarecka.

Kapitan Wrona okazał się idealny, bo ma wszystkie potrzebne bohaterowi cechy. - Solidność, opanowanie, perfekcja w pracy - dodaje Jarecka. Nie wyróżnia się, jest skromny, przeciętny, wygląda tak jak sąsiad z klatki obok. To daje jednocześnie Polakom poczucie, że jest jednym z nas. Że w każdym z nas drzemie podobny bohater. - 50-latek, a więc dla młodszych taki ojcowski typ, a dla starszych

dowód na to, że nie trzeba być pięknym i młodym, by odnieść sukces - wylicza profesor Kuligowski. - Idealny wzór na czasy transformacji - przyznaje.

Ogrzać się w ciepłe bohatera

Kapitan Wrona jednak nie tylko samym Polakom okazał się potrzebny. Także firmie LOT, która urządziła konferencję prasową, by pochwalić się pilotem. Mężczyznę zasypało gradem pytań: Kiedy miał pewność, że trzeba lądować bez podwozia? Jak się czuł ze świadomością, że odpowiada za życie 231 osób? Czy się bał? Kiedy odetchnął z ulgą? - Dopiero na trzy-cztery minuty przed samym przyziemieniem wiedział na pewno, że podwozia nie będzie. Starłem się nie myśleć o tej całej odpowiedzialności, tylko skupić na samym manewrze. Nie bałem się, tylko trzymałem procedur z książki lotu - odpowiadał spokojnie.

- Czy wie pan, że jest już bohaterem narodowym?

- Bohaterem narodowym? To określenie na wyrost. Jestem przekonany, że każdy z pilotów zatrudnionych w Locie zachowałby się tak samo - odpowiedział skromnie.

Potwierdza to emerytowany pilot LOT-u Tomasz Smolicz, który na żywo oglądał widowiskowy finał rejsu O16. - Każdy z nas ma różne, mniej lub bardziej trudne lądowania. Tu jednak zmagania z maszyną były relacjonowane na żywo, dodało to adrenaliny widzom i wywołało medialny efekt - mówi Smolicz.

Co dalej będzie z kapitanem Wroną? Za kilka tygodni zejdzie z czołówek gazet, przestanie wypowiadać się w mediach i wtedy się okaże, na ile podziw Polaków był trwały.

- Wronomania pewnie niedługo się skończy. Euforia jest intensywna, ale krótka - nie ma wątpliwości profesor Waldemar Kuligowski. - Miejmym nadzieję, że LOT nie wpadnie na pomysł, by zrobić z niego kolejnego bohatera, tym razem kampanii reklamowej - dodaje profesor Urszula Jarecka. - Szkoda taki pozytywny wzór rozmiąć na drobne. Z bohatera zrobiłby się po prostu celebryta.

Autorka jest dziennikarką „Dziennika Gazety Prawnej”

www iPad „Przesłaliśmy na ręczne sterowanie dwie minuty przed lądowaniem” - opowiada kapitan Tadeusz Wrona. Zobacz na www.przekroj.pl oraz w „Przekroju” na iPadzie

REKLAMA

ELECTRONIC BEATS FESTIVAL



electronic
beats

...T-Mobile...

GROOVE ARMADA PRESENT **RED LIGHT**
THE DRUMS WILEY / ZOLA JESUS 02.12.2011 SOHO FACTORY
UL. MIŃSKA 25, 03-808 WARSZAWA

WWW.ELECTRONICBEATS.NET WWW.T-MOBILE-MUSIC.PL

START: 20:00 / CENY BILETÓW: 60 ZŁ (DO 20.11) / 70 ZŁ (DO 01.12) / 80 ZŁ (W DNIU IMPREZY) / BILETY: WWW.TICKETPRO.PL
TEL: 32 352 00 04, ORAZ PUNKTY SPRZEDAŻY: BILETERIE EMPIK, SKLEPY MEDIA MARKT I SATURN

PATRONI
MEDIALNI:



EMMA

cojestgrane



gazeta



Demon demokracji

Oburzeni Grecy traktują już rząd Papandreu jak klikę zdrajców narodu

Nawet jeśli grecki rząd ostatecznie zaakceptuje twarde warunki brukselskiej pomocy, to bez poparcia społecznego nie będzie w stanie ich wdrożyć. Ten kryzys zaczął się przez demokrację i tylko dzięki demokracji może się zakończyć

ŁUKASZ WÓJCIK

Podobno jedynym sposobem na problemy z demokracją jest więcej demokracji. 31 października w myśl tej zasady premier Jeorjos Papandreu zaproponował rozpisanie referendum nad ofertą pomocy, którą bankrutującym Atenom złożyły Unia Europejska i komercyjne banki. Europa na kilka dni wstrzymała oddech, premier Grecji został wezwany przed oblicze Angeli Merkel i Nicolasa Sarkozy'ego i wyciszony wrócił do Aten. Wieczorem 3 listopada było już niemal pewne, że grecki parlament nie zgodzi się na referendum. Śmiała myśl greckiego premiera, aby zapytać obywateli, co sądzą o warunkach brukselskiej pomocy, została mu wybita z głowy ciężkim narzędnikiem.

W chwili uniesienia Papandreu odwołał się do idei, która została wymyślona jakieś 2,5 tysiąca lat temu, nie dalej niż kilkanaście minut spacerem od jego ateńskiej siedziby. Większa dawka demokracji, jak twierdził premier przez te kilka dni szaleństwa, miała „rozładować napięcia społeczne” paraliżujące kraj pogrążony w kryzysie. I jak przekonują niektórzy eksperci, całkiem możliwe, że Papandreu, nieco przez przypadek, otarł się o genialny w swej prostocie pomysł na walkę z kryzysem. „To demon demokracji wpakował nas w te gospodarcze tarapaty i tylko on może nas z nich wyciągnąć” – twierdzi Barry Eichengreen, dziekan wydziału ekonomii na Uniwersytecie Kalifornijskim w Berkeley i autor słynnej książki

„Golden Fetters” („Złote kajdany”). „Papandreu przez chwilę mógł zostać prawdziwym greckim bohaterem”.

Same złe scenariusze

Wiele wskazuje na to, że dla Papandreu odwołanie się „do woli ludu” było jednak tylko taktyczną zagrywką. Atakowany ze wszystkich stron za „dwa lata wypełniania rozkazów z Brukseli, Paryża i Berlina” (słowa lidera greckiej opozycji Antonisa Samarasa), chciał zdjąć z siebie choć część odpowiedzialności za to, co się stanie z krajem w najbliższych miesiącach. A w żadnym możliwym scenariuszu nie stanie się nic dobrego. Grecja nie ma pieniędzy. Jeśli do 15 grudnia nie otrzyma kolejnej transzy unijnej pożyczki (osiem miliardów euro), to jeszcze przed końcem roku setki tysięcy urzędników i emerytów nie dostaną wypłat i emerytur. Ateny nie zapłacą też kolejnych rat swoich kredytów. By nie dopuścić do takiej sytuacji, kraje strefy euro i banki, w których zadłużona jest Grecja, złożyły premierowi Papandreu nową propozycję. Banki puszcza w niepamięć połowę greckiego zadłużenia. W zamian za to Ateny miałyby dalej ciąć koszty, czyli zwolnić

kolejne 60 tysięcy urzędników, a pozostałym obniżyć pensje, podwyższyć podatki i niemal do końca sprywatyzować państwowy majątek. Wszystko to pod ścisłym nadzorem Brukseli, która mogłaby nawet wetować projekty greckich budżetów.

Alternatywa jest bardzo ryzykowna. Grecja może się obyć bez brukselskich pieniędzy tylko w jeden sposób – występując ze strefy euro i wracając do drachmy oraz ogłaszając przerwanie spłaty zagranicznego długu. Chaos, który potem nastąpi, zmiecie z powierzchni ziemi grecki system bankowy i napędzi inflację. Przez następne dwie dekady nikt nie pozyczy Atenom złamanego grosza. Ale będą też pozytywy. Bank centralny Grecji będzie mógł wydrukować tyle banknotów dla urzędników i emerytów, ile mu się spodoba. Rozpędzi się eksport, bo nowa drachma będzie bardzo słaba, a gospodarka, nieobciążona już zagranicznymi długami, ma szansę na odbicie.

Premier Grecji stanął więc przed nie lada dylematem: albo na całą dekadę odda Grecję w finansowe władanie brukselskich urzędników, albo wyprowadzi kraj ze strefy euro, a Grecy natychmiast poniosą odpowiedzialność za fatalną sytuację gospodarczą ich kraju. Nie za bardzo sobie z nim radząc, próbował oddać decyzję w ręce współobywateli. Jak twierdzi Richard Freeman, ekonomista z Uniwersytetu Harvarda, „najbliższe miesiące mogły mieć tam historyczne znaczenie”. Dotychczas to politycy ponosili bezpośrednią odpowiedzialność za stan państwa, przegrywając wybory. „W Grecji była szansa, że za pomocą demokratycznej decyzji, podjętej w głosowaniu, Grecy sami wybiorą sobie karę za dekady życia ponad stan”. Paradoksalnie kraj ten znów mógł się stać pionierem demokracji.

Chciwość demokracji

Demokracja to nie jest zbyt fortunne rozwiązanie. – Choć politycy próbują dostarczać wytłumaczenia subtelniejsze, bardziej skomplikowane, miłe dla ludu, to trudno nie zauważyć, że to głównie dzięki demokracji wpakowaliśmy się w takie zadłużenie – przekonuje w rozmowie z „Przekrojem” profesor Alan Martin, ekonomista z London School of Economics and Political Studies. – Chciwość rodzi się tam, gdzie jest władza. W demokracji wszyscy mają władzę.

Ze swej natury demokracje głosują za rozwiązaniami, na które ich nie stać. – Światowym standardem stała się już sytuacja, w której państwa demokratyczne wydają więcej, niż zarabiają – uważa profesor Martin. – Deficyt budżetowy jest dziś podstawowym narzędziem

rządzących dla utrzymania poparcia społecznego, a obietnice wyborcze dotyczące nowych świadczeń dla obywateli są nieodłącznym elementem kampanii wyborczej.

Na wskroś demokratycznym pomysłem jest też powszechny dziś na świecie pieniądz fiducjarny, czyli taki, którego ilość nie zależy od stałego punktu oparcia, na przykład złota, ale od decyzji banku centralnego, który może stworzyć (wydrukować) jego dowolną ilość. Pionierem tego rozwiązania był prezydent USA Richard Nixon, który w 1971 roku, nie będąc w stanie finansować jednocześnie wojny w Wietnamie i rosnących wydatków socjalnych amerykańskiego budżetu, oderwał dolara od ceny złota i kazał drukować miliony „Franklinów” i „Grantów” bez pokrycia w kruszcu. Rok później wygrał wybory, osiągając jeden z najlepszych wyników w XX-wiecznej historii USA.

Grecja może się obyć bez pieniędzy z UE tylko w jeden sposób – występując ze strefy euro. Chaos, który potem nastąpi, zmiecie grecki system bankowy

Według danych amerykańskiego Narodowego Instytutu Demokracji w ostatnich trzech dekadach to demokracje, a nie państwa autorytarne, wykazywały średnio znacznie większą tendencję do zadłużania się lub dodrukowywania pieniędzy. We wnioskach ostatniego raportu o zadłużeniu Instytut twierdzi, że „w dłuższej perspektywie wszyscy amatorzy takiego rozwiązania mogą skończyć jak Grecja”. Ale jak powiedział wielki teoretyk i zwolennik polityki polegającej na kontrolowanym, stałym deficycie budżetowym, brytyjski ekonomista John Maynard Keynes: „W dłuższej perspektywie wszyscy będziemy martwi”.

Nie ma czasu na dyskusję

Im głębiej Europa brnęła w kryzys, tym większym problemem dla europejskich liderów stawała się demokracja. Wspomniany Barry Eichengreen prezydentowi Francji przypisuje określenie *démon de la démocratie* (demon demokracji). Nicolas Sarkozy miał tak w sierpniu skwitować ledwie pogłoski o referendum w Grecji: „W tak głębokim kryzysie musimy się oprzeć na decyzjach ekspertów i brać pod uwagę reakcje rynków finansowych, a nie

rozpocząć społeczną debatę. Nie mamy na to czasu” – przekonywał wówczas Sarkozy.

Odmiennego zdania jest tygodnik „The Economist”: „Teraz, gdy demokratycznie wybrane rządy straciły kontrolę nad swoimi długami, demokracja może okazać się jedynym dla nich ratunkiem” – przekonuje w komentarzu do ostatnich wydarzeń. Tygodnik dziwi się oburzeniu Sarkozy'ego: „Trudno mieć pretensje do greckiego premiera, nawet jeśli decyzja o postawieniu sprawy na ostrzu noża była spowodowana egoistycznymi kalkulacjami. Akceptując warunki unijnej pomocy, Grecja zgodzi się na bezprecedensowe ograniczenie swojej suwerenności. Nawet jeśli odrzucenie tej propozycji będzie oznaczać dla nich katastrofę gospodarczą, Grecy powinni mieć prawo wyboru”.

Papandreu nie miał wyboru. Nikos Konstandaras, felietonista greckiego dziennika „Kathimerini”, pisał 2 listopada o premierze: „Nawet gdyby udało mu się zaakceptować twarde warunki brukselskiej pomocy, to jest mało prawdopodobne, że potrafiłby je zrealizować. Kraj od kilku miesięcy jest w stanie chaosu”. Wobec silnego oporu samych Greków nie udało się zrealizować praktycznie żadnej reformy, obiecaniej przez Ateny dwa lata temu, przy odbieraniu pierwszego pakietu pomocowego z UE.

Grecja ma fatalne wyniki w ściągłości podatków, bo od siedmiu tygodni strajkują urzędy skarbowe, tak jak pracownicy sieci energetycznych, którzy mieli pobierać nowy podatek od nieruchomości wraz z opłatami za energię. Ateny miały w tym roku ograniczyć deficyt budżetowy do siedmiu procent PKB, ale Międzynarodowy Fundusz Walutowy przewiduje, że nie zmieszczą się w 10 procentach.

Najwyraźniej niepytany o zdanie demon greckiej demokracji w końcu się zdenerwował. „Państwo dziś jest już zupełnie niesterowalne” – pisze o Grecji Konstandaras. „Grecy świetnie zdają sobie sprawę z katastrofalnej sytuacji. Ale jeśli mają znieść tego konsekwencje, muszą znów poczuć, że to jest ich państwo”.

Demokracja to nie jest fortunne rozwiązanie. Ale lepszego jeszcze nikt nie wymyślił. Po ubiegłotygodniowym zamieszaniu jest już mało prawdopodobne, że Grecy dostaną prawo głosu. Bez względu na to, czy zaakceptowałyby, czy też odrzuciły warunki brukselskiej pomocy, każda ich decyzja byłaby lepsza niż sytuacja, w której grecki rząd, zupełnie już pozbawiony społecznego zaufania, podejmuje tak kluczowe decyzje dla przyszłości kraju ponad głowami własnych obywateli. Jeśli sami zdecydują, który czyściciel bardziej im odpowiada, mniej będą cierpieć i protestować. ●



Orzeł Kaczyńskiego

Ziobro i Kurski powinni grać w naszej drużynie, ale ja ufam Jarosławowi Kaczyńskiemu, który jest świetnym taktykiem. On jest trenerem, ja – zawodnikiem tej drużyny – mówi **JAN TOMASZEWSKI** w rozmowie z Robertem Mazurkiem

Ziobro czy Kaczyński?

– Ja gram w drużynie PiS.

Ale w której?

– Dla mnie trener tej drużyny, Jarosław Kaczyński, jest z najwyższej światowej półki, w tym przypomina Kazimierza Górskiego.

Pięknie powiedziane. Górski też zjadał zastępców?

– U pana Kazimierza w drużynie też dochodziło do konfliktów.

Pan Kaczyńskiemu wierzy bezgranicznie?

– Ziobro i Kurski są zdolnymi politykami i powinni grać w naszej drużynie, ale ja ufam Jarosławowi Kaczyńskiemu, który jest świetnym taktykiem. On jest trenerem, ja – zawodnikiem tej drużyny. Nawet jak u pana Kazimierza obroniłem karne, to nie miałem prawa wtrącać mu się do składu.

Kim był konsultant sb „Alex”?

– Nie wiem, na pewno nie byłem nim ja. Mówię jasno i jednoznacznie: nigdy nie współpracowałem ze Służbą Bezpieczeństwa.

Dokumenty wskazują, że zarejestrowano pana w 1986 roku, a teczkę zniszczono trzy lata później.

– Jakie dokumenty? Nie ma żadnego mojego podpisu, żadnej teczki, śladu tych konsultacji, słowem: nic.

To skąd się wzięły te papiery?

– To jakaś oczywista fałszywka. Może się jakiś esbek chciał wykazać i przepisał moje komentarze?

Politycy PiS zawsze wyśmiewali takie tłumaczenia. Po co sb miałyby sobie kartoteki fałszować?

– Nie mam pojęcia, ale po co ja miałbym z nimi współpracować? Miałbym nie być przy zdrowych zmysłach, żeby nie współpracując z sb w latach 70. i na początku 80., kiedy to jeszcze coś mogło mi dać, zgłosić się do nich w 1986 roku, kiedy wszystko już padało. W 1986 roku byłem już sportowo spełniony, a po grze w Belgii i w Hiszpanii – w życiu naprawdę ustawiony.

sb werbowwała ludzi do końca.

– Poczytałem trochę i dowiedziałem się właśnie, że konsultant to ktoś, kto nie donosi na kolegów, ale udziela ogólnych opinii o całym środowisku. To jakaś brednia kompletna.

Dlaczego?

– Bo ja nie od 1986 roku, ale wcześniej, od 1973 roku, i nie tajnie, ale całkiem jawnie byłem konsultantem wszystkich mediów w Polsce! Od 40 lat rozmawiam z dziennikarzami i po jaką cholerę miałbym jeszcze mówić to samo sb? Oni też musieliby być kretynami, by sobie brać na konsultanta faceta, którego opinie na temat środowiska i tak codziennie drukuje prasa!

Podaj pan „Newsweek” do sądu?

– Za co? Ktoś im dał kwity, to je opisali. Byłem komentatorem, jestem politykiem, na dziennikarzy się nie obrażam.

To czym to się ma skończyć?

– Niech się wypowie IPN, ja jestem spokojny.

A jeśli władze PiS nie będą pana chciały w klubie?

– W pełni to zaakceptuję. Mnie te oskarżenia śmieszą, bo znam swoją przeszłość, ale zrozumieć każdą decyzję klubu PiS, podporządkuję się w pełni.

To zemsta PZPN?

– Ktoś musiał dać dziennikarzom te kwity i myślę, że był to ktoś z grupy, dla której stanowią zagrożenie.

A kto aż tak się boi Jana Tomaszewskiego?

– Z jednej strony ludzie z PZPN. Przecież oficjalnie zapowiedziałem, że będę się starał, by doszło do spotkania ministra sportu z szefem UEFA Michele Platiniem, żeby do PZPN wszedł kurator. Gdyby to PiS wygrało wybory, już byśmy to załatwiali, ale teraz poszukam ponadpartyjnego porozumienia w tej sprawie. Publicznie mówiłem również, że chciałbym zająć się wielomiliardowymi przekrętami przy budowie stadionów i autostrad na Euro 2012. Ja tego nie odpuszczę, będę robił wszystko, by w Sejmie powstała komisja śledcza w tej sprawie. Wiele osób ma się czego bać.

PiS może mieć z panem więcej kłopotów. W 1982 roku wsparł pan PRON.

– Powiem panu więcej: ja poparłem wprowadzenie stanu wojennego!

To urocze, że popierał pan Jaruzelskiego, a dziś wspiera Kaczyńskiego.

– Grałem wtedy w Hiszpanii i codziennie widziałem w telewizji te radzieckie wojska na granicy. Dla nas to był jedyny ratunek, żeby tu się nie powtórzyły Węgry z 1956 roku czy Czechosłowacja z 1968 roku.

Wie pan, że żadne wojska wtedy nie stały? Sowieci grozili interwencją, ale w październiku 1980 roku.

– Gdybym wtedy znał to wszystko, to może zachowałbym się inaczej, ale znałem realia z hiszpańskiej telewizji i dlatego to powiedziałem. Nawet rozwiązałem rok wcześniej kontrakt i przyjechałem tutaj, żeby być z rodziną.

A jak pan przyjechał, to od razu zaciągnął się do PRON. Pogratulować.

– Ja się tego nie wstydzę. Myślałem, że może PRON będzie jakimś buforem, ochroni przed straszliwą konfrontacją z władzą, przed wieszaniem ludzi na ulicach.

W takim razie jest pan co najmniej bardzo, bardzo naiwny w sprawach politycznych.

– Być może, ale tak wtedy myślałem.

Skoro wtedy nic pan nie rozumiał z polityki, to może i teraz, wspierając PiS, pan się myli?

– A dlaczego pan uważa, że nic nie rozumiałem?

Wsparcie stanu wojennego było słuszne?

– Ależ oczywiście! Nadal uważam, że gdyby nie stan wojenny, to wojska radzieckie weszłyby do Polski i skończyłoby się tragedią.

Rozumiem, że działanie w PRON też nie było błędem?

– Tak myślałem wtedy i tego się nie wypieram. Gdybym dziś, po 30 latach powiedział: „Tak, to był błąd”, to ludzie by pomyśleli: „Ale chora gwiazdka!”. Biorę za moje postępowanie pełną odpowiedzialność. Ale przecież cała Polska o tym wszystkim wiedziała, ja o tym w książkach pisałem.

To będzie zabawny widok: pan z tymi poglądami w klubie PiS.

– Wtedy miałem przekonanie, że robię coś dobrego, a dziś nie będę się tego wypierał i przeproszał. Tak postąpiłem i trzeba brać człowieka takim, jakim jest.

Pan jest waleczny. Walcząc z PZPN, skłócił się pan ze wszystkimi.

– Ja nie szukam z nikim konfliktu, tylko nie boję się głośno wypowiedzieć swojego zdania. Zaczęłem, gdy byliśmy w okolicach 15. miejsca na świecie w rankingach FIFA, i słyszałem: „Co on robi, czego się przepierza?”. No i teraz jesteśmy na jakimś 65. miejscu...

Jest ktoś ze świata futbolu, z kim się pan zgadza, z kim chce współpracować?

– To proszę mi powiedzieć, z kim nie chcę?

Wściekle pan atakuje cały PZPN, Smudę, Bońka, piłkarzy...

– Spokojnie! Ja się w wielu sprawach nie zgadzam ze Zbyszkiem Bońkiem, ale sam ostatnio powiedziałem, że to on byłby najlepszym komisarzem w PZPN. Jestem gotów pójść na wiele kompromisów, bo nie chciałbym, by podczas Euro 2012 szefem PZPN był mój przyjaciel z boiska Grzegorz Lato.

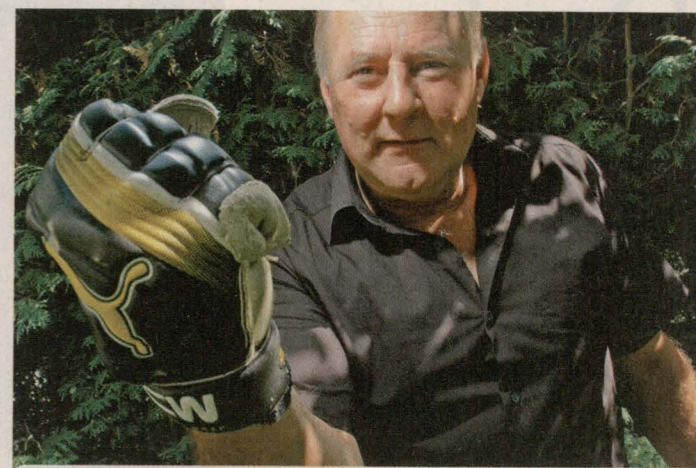
Piłkarzem był wielkim, prezesem chyba jest mniejszym.

– Ja go znam od 40 lat i komentując jego wybór w TVN24, powiedziałem, że to będzie największa kompromitacja polskiej piłki.

Niby czemu?

– Pozwolę sobie zgodzić się z Moniką Olejnik, która po 20-minutowym wywiadzie telewizyjnym z Grzegorzem Lato powiedziała, że to prostak. No cóż, ja znam tego człowieka i muszę się z tym zgodzić. Kandydując do władz UEFA, napisał, że chciałby być jak Jan Paweł III! Przecież to żenujące! Nic dziwnego, że dostał najmniej głosów i odpadł w kompromitującym stylu. I kiedy ja przypominam takie rzeczy, to słyszę, że jestem kontrowersyjny.

Nie, no jasne, że pan nie jest!



Jan Tomaszewski

63 lata, jeden z najlepszych bramkarzy w historii polskiej piłki nożnej, „człowiek, który zatrzymał Anglię”, srebrny medalista igrzysk olimpijskich w Montrealu (1976). W ostatnich wyborach parlamentarnych uzyskał mandat poselski z listy PiS w Łodzi. Pierwszy krytyk PZPN. Znaną z kontrowersyjnych, by nie rzec – obraźliwych, wypowiedzi. W ostatnich dniach oskarżany przez „Newsweek” o współpracę z sb.

For. Kuba Dąbrowski/Przekrój/Forum

– A na czym ta kontrowersyjność polega? Że jako członek Klubu Wybitnego Reprezentanta protestuję, by człowiek skazany za ustawianie meczów grał w reprezentacji?

Tu zgoda, ale czemu pan obraża naturalizowanych reprezentantów Polski?

– Ja się brzydę czymś takim! Jeśli pan Perquis łaskawie godzi się grać w reprezentacji Polski tylko dlatego, że nie załapał się na reprezentację Francji, to mnie to oburza! Pół roku temu Eugen Polanski mówił, że w meczu Polska–Niemcy całym sercem będzie po stronie Niemiec, ale kiedy tam go nie chcieli w kadrze, to przyszedł do Smudy. Oni zabierają miejsca prawdziwym Polakom.

Tamci są nieprawdziwi?

– To piłkarskie odpady, ludzie sfrustrowani tym, że ich w ich krajach nie chcą, więc przypominają sobie o Polsce, bo chcą się pokazać na Euro 2012. Ja sobie takich reprezentantów nie życzę.

A co mają powiedzieć Niemcy?

– Dziękuję za to pytanie! Ja grałem z Józkiem Klose, ale rozumiem, że jego syn, Mirek, wybrał Niemcy, dokąd wyjechał jako kilkuletni chłopak, wychował się na niemieckiej piłce i dla nich gra. Mnie też nie będzie przeszkadzało, jak w polskiej drużynie będzie grać syn Kolumbijczyka Arboledy, Izraelczyka Melliksona czy Nigeryjczyka Olisadebe. Jeśli ich dzieci wychowają się Polsce, będą takimi samymi Polakami jak wszyscy inni, niech dla nas grają!

Jak się pan czuje w roli polityka?

– Jestem osobą publiczną od prawie 40 lat, więc niewiele się zmieni. I tak jako dyżurny krytyk PZPN nie miałem żadnej taryfy ulgowej.

Ale jednak był pan Orłem Górskiego, a to narodowa świętość. Coś jak miecz Szczербiec.

– Trochę wyszczerbiony, bo widać nie miałem takiej siły przebicia, by coś zmienić w polskiej piłce. Mam nadzieję, że teraz, jako polityk i poseł, będę miał większą.

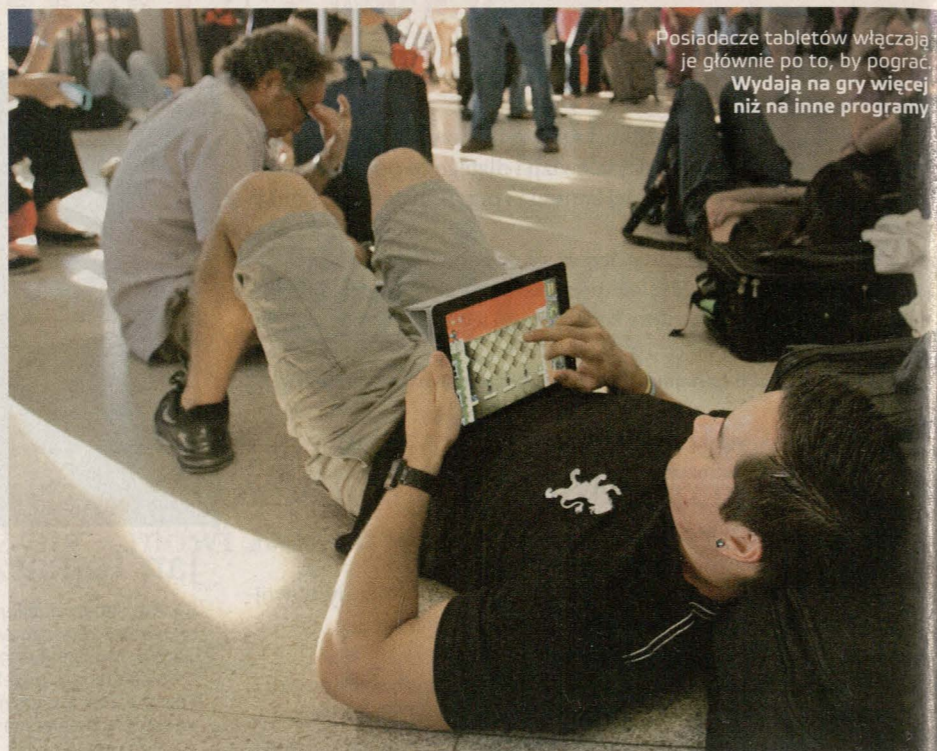


Drobne gry o duże stawki

Nie trzeba wielomilionowych inwestycji, sztabów ludzi, wymuszonych cyrografów z wydawcami, by odnieść światowy sukces i zbić fortunę jako twórca przebojowych gier. Polacy już to wiedzą i skutecznie eksplorują nowe e-ldorado

OLAF SZEWCZYK

O tym, że po tej stronie Odry robi się świetne gry wideo cenione przez świat, już wiemy. Ponad dwa miliony sprzedanych egzemplarzy „Dead Island” wrocławskiego Techlandu i już niemal milion „Wiedźmina 2” ze stołecznej kuźni CD Projekt RED robią wrażenie. Ale czy wiedzą państwo, że „Pirates Saga” (jak głosi hasło reklamowe: „Walcz o sławę, plądruj statki wrogów i żyj przygodą!”), skromna produkcja niewielkiego studia Can't Stop Games – *notabene* także jak Techland z Wrocławia – właśnie podbija



Por. K. C. Alfred/The San Diego Union-Tribune/ZUMA Press/Corbis

Chiny? I że jeszcze zanim przeskoczyła Wielki Mur, miała dwa miliony użytkowników – które z obecnej perspektywy wydają się zaledwie skromną przystawką?

Olbrzymie rzesze ludzi na całym świecie chcą bawić się wspólnie w piratów, toczyć morskie bitwy, szukać skarbów, wykonywać najróżniejsze niebezpieczne misje pod dyktando nieznanych polskich projektantów, którzy mają daleko nawet do Bałtyku. Czy świat utopił rozum w Rowie Mariańskim? Co tu jest grane?

Ahoj! Nowe rynki na horyzoncie!

„Pirates Saga” to jedna z coraz popularniejszych w świecie *social games* – gier społecznościowych, do których uruchomienia nie jest potrzebny drogi komputer z silnymi podzespołami, wymagany przez tradycyjne współczesne gry komputerowe. Dostępne są, jak słynna „FarmVille”, jako darmowa usługa w serwisach społecznościowych (na przykład Facebook), da się je uruchomić w zwykłej przeglądarce nawet mocno leciwego biurowego peceta. Grają w nie namiętnie zatem i panie urzędniczki w wieku balzakowskim, które dotąd od tej formy rozrywki trzymały się z daleka. Według badań producenta gier GameCup przeciętny miłośnik *social games* to 43-letnia kobieta.

Ekspertcy uważają, że właśnie takie zabawy są przyszłym głównym nurtem elektronicznej rozrywki. Regularnie poświęca im czas już ówczerni miliarda ludzi, z czego jedna trzecia nigdy wcześniej nie miała kontaktu z elektronicznymi grami, i ta liczba w szybkim tempie rośnie. Ocenia się, że w tym roku uciekać w nie będzie od problemów doczesnego świata o jedną czwartą osób więcej niż w roku ubiegłym.

Równolegle rosną zyski twórców gier – choć z reguły udostępniane są one za darmo. Zarabiają nie tylko na reklamach, ale także – i przede wszystkim – na mikropłatnościach. Wirtualni rolnicy z Facebookowego przeboju „FarmVille” autorstwa studia Zynga chcą lepiej zadbać o swe uprawy? Mogą za drobną opłatą kupić lepsze maszyny rolnicze lub nasiona. To są grosze, ale ziarenko do ziarenka i zbierze się miarka. Całkiem, rzecz można, spora miarka. W 2010 roku uzbierało się z tych ziarenek aż 7,3 miliarda dolarów (zyski z wszystkich gier społecznościowych zarabiających na mikropłatnościach). W tym roku plony będą zdecydowanie wyższe. I trudno się dziwić, biorąc pod uwagę tempo, w jakim rozprzestrzenia się owa plaga.

W oparciu o zeszłoroczne statystyki wiemy, że 53 procent z kilkuset milionów użytkowników Facebooka to gracze. 20 procent z nich

placi w formie mikrotransakcji za wspomniane nasionka. Co ciekawe, aż 69 procent osób grających na FB to kobiety. Świadomi trendów wielcy wydawcy przerzucają część budżetów na społecznościówki, inwestując w nie potężne pieniądze. Electronic Arts lekką ręką wydał około 400 milionów dolarów, z czego 275 milionów w gotówce, na kupno specjalizującego się w *social games* studia Playfish i na pewno nie pożałuje decyzji. Wszyscy już wiedzą, gdzie leżą konfitury. Ale to nie znaczy, że tylko wielcy gracze z dużymi budżetami mają szansę rozdawać karty. Przykład polskiego Can't



Wrocławska gra „Pirates Saga” już podbija Chiny

Stop Games dowodzi, że wygrać w tym wyścigu może każdy.

Dostępna między innymi na Facebooku, w Gadu-Gadu i serwisie gg.pl „Pirates Saga” została uznana przez należący do Microsoftu portal MSN za jedną z 10 gier lepszych niż „FarmVille” (fanfary! oklaski!). A przecież działająca od 2007 roku wrocławska firma zatrudnia zaledwie około 30 osób. Cała ta przygoda

zaczęła się *notabene* od czworga pasjonatów i dotacji unijnej na rozkręcenie działalności. Jak widać, da się osiągnąć szczyty bez wielkiego zaplecza, gdy się ma talent, pasję i wolę ciężkiej pracy. Co jednak właściwie przesądziło o sukcesie w tym konkretnym przypadku?

– Najpierw trzeba się dobrze zastanowić, jaki temat ma szansę chwycić. Postawiliśmy na popularność filmowego cyklu „Piraci z Karaibów” – mówi „Przekrojowi” Artur Jaskólski z Can't Stop Games. – Wiedzieliśmy też, że gra przypadnie, jeśli pod jakimkolwiek względem będzie odstawać jakością od najlepszych



„Neuroshima Hex” (PL) – hit na iPhone'y i iPady

tytułów na rynku. „Pirates Saga” to w swej kategorii produkcja na najwyższym światowym poziomie. Przy tak dużej konkurencji nie ma innej drogi, by się przebić.

Każdy będzie grał na smartfonie

Na naszych oczach eksploduje niczym supernowa jeszcze jeden gigantyczny rynek gier: na osobiste urządzenia przenośne. Owszem, od

lat pasjonaci noszą przy sobie kieszonkowe konsole, jak Nintendo DS czy PlayStation Portable, ale nie o nich tu mowa – w obliczu tego, co nas lada moment czeka, gry na te urządzenia okazały się ledwie niszą. Uważa się, że smartfony – telefony komórkowe z dużym dotykowym ekranem, o potężnej mocy obliczeniowej – już wkrótce całkowicie zdominują rynek. Zmienią sposób korzystania przez nas z Internetu, ale też stworzą nowe środowisko dla elektronicznej rozrywki. Umożliwią stały dostęp do gier społecznościowych, polegających w dużej mierze na interakcji z innymi graczami – czy to chodzi o napaść na czyjś galeon, czy o pomoc w hodowli nie mniej nierealnych owiec. Ale na tym nie koniec.

Komórki i szybko zdobywające popularność tablety to idealne platformy dla wszelkiego rodzaju drobnych gier, którymi można zabijać czas w kolejce do fryzjera lub w tramwaju podczas dojazdów do pracy. A przecież jeśli nie tablet, to smartfona – w rzeczy samej elektronicznego asystenta o wydajności biurowego komputera – lada moment będziemy mieli ze sobą wszędzie. A bawić się lubimy wszyscy i to niezależnie od wieku.

W tej dziedzinie Polacy też odnoszą już znaczące triumfy. Przykładem warszawskie studio Big Daddy's Creations, specjalizujące się w grach na iPhone'y i iPady – czyli urządzenia z systemem operacyjnym ios – sprzedające je w należącym do Apple internetowym sklepie App Store. Także i w tym przypadku warunkiem prymarnym sukcesu była troska o najwyższą jakość produktu, a także przemyślana strategia – pełna świadomość tego, co →

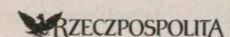
REKLAMA



Partner albumu



Album poleca



Fotografie Rzeczpospolitej 2010/11

Fotografie Rzeczpospolitej 10/11 – najlepsze prace 23 fotoreporterów dziennika „Rzeczpospolita”. 146 zdjęć na 110 stronach z okresu od czerwca 2010 do maja 2011 roku po raz pierwszy w wersji polsko-angielskiej.

Album w cenie 55 zł można kupić przez Internet na stronie www.fotorzepa.pl



→ ma szansę chwycić (nie, tym razem nie postawiono na zabawy w piratów).

– Najgorszy pomysł to zrobić coś, co już się świetnie w App Store sprzedaje – mówi „Przekrojowi” współzałożyciel bdc Marek Pańczyk. – Klonowanie „Angry Birds”, „Plants vs Zombies” czy „Doodle Jump” to marnowanie czasu. Myśli tak kilkanaście tysięcy innych firm i kiepsko kończy. Codziennie pojawia się w sklepie Apple 400 nowych gier. Szansa, że właśnie nasza produkcja, podobna do czyjegoś przeboju, odniesie sukces, jest bardzo mała.

Big Daddy's Creations znaleźli optymalną dla siebie niszę: specjalizują się w adaptacji nowoczesnych gier planszowych. – Naszym największym sukcesem komercyjnym jest „Neuroshima Hex”, pierwotnie, jako tradycyjna gra planszowa, wydana przez wydawnictwo Portal. Była swego czasu na pierwszym miejscu najlepiej sprzedających się gier w Polsce – niewielkie wyzwanie, szczerze mówiąc. O wiele ważniejsze jest to, że w USA wspięła się na 56. miejsce wśród gier na iPhone'a oraz na 13. w kategorii gier na iPada. A to już duże osiągnięcie – dodaje Pańczyk.

Pozycje 56. i 13. być może na pierwszy rzut oka nie robią wielkiego wrażenia, ale warto pamiętać, jakie wiążą się z nimi przeliczniki. Apple sprzedał aż 250 milionów urządzeń z ios – to gigantyczny rynek zbytu. Producenci oferujący za pośrednictwem App Store swoje gry zarobili już – mimo 30-procentowej marży narzucanej przez firmę z nadgryzionym jabłuszkiem w logo – trzy miliardy dolarów.

Dość rzec, że niemająca nawet własnego biura, przez długi czas dwu-, trzysobowa firemka, dziś w porowach ośmiuosobowa (wliczając podwykonawców na szybkie zlecenia), sprzedała tylko w ciągu minionego roku w App Store około 100 tysięcy swoich gier, wyceniając je średnio na trzy do pięciu dolarów. Było to możliwe, bo produkcje Polaków zyskały uznanie u selekcyonerów sklepu, dzięki czemu promowano je jako godne uwagi w najrozmaitszych kategoriach: między innymi „New & Noteworthy”, „The Best Board Games”, „Games for Expert (App Store Essentials)”, „World Domination Games”. Oto klucz do sukcesu – dzięki takiej nobilitacji gra jest zauważana i recenzowana przez wpływowe media, wpada w oko nabywcom.

Co jednak musi zrobić twórca, by jego produkt zyskał uznanie ekspertów z Apple? Współwłaściciel Big Daddy's Creations jest w tej kwestii jednomyślny z kolegami z Wrocławia: – Liczy się przede wszystkim wysoka jakość. Wszystko, co szpetne, niestabilne,

wtórne, nieprzetestowane, niedokończone, banalne – umrze natychmiast. W App Store szansa na zrobienie dobrego wrażenia jest tylko jedna – w momencie premiery. Jeżeli wtedy się nie uda, to już przegraliśmy. Gdy jednak zrobimy produkt wysokiej klasy, zauważy nas Apple i trafimy do „New & Noteworthy” – gra zyskuje szansę na przebicie się i dłuższe życie.

Marek Pańczyk podkreśla, jak ważny jest oryginalny pomysł i wstrzelenie się we właściwą niszę – bo tych w e-sklepie, wciąż niezagospodarowanych, czekających na świetne produkcje, jest nadal mnóstwo. Reasumując: to wciąż jest eldorado, ale tylko dla tych, którzy mają nosa, by wyczuć, gdzie czeka na nich bizantyjska fortuna.



„FarmVille” Zyngi. W przeboje tej firmy gra na Facebooku co miesiąc **ćwierć miliarda osób**



Stworzoną przez Finów z Rovio Mobile grę „Angry Birds” pobrano już **pół miliarda razy**

Dzięki dobremu pomysłowi i doszlifowaniu produktu na błysk duży sukces odniosło niedawno rodzime 11 bit studios. Projektując „Anomaly: Warzone Earth”, przewrotnie potraktował zasady gatunku tower defense, w którym gracz musi odpierać kolejne, coraz to silniejsze zmasowane ataki wroga na swą bazę. Tym razem to gracz atakuje, a maszyna się broni. Świat ów koncept kupił, z komentarzem: „Dlaczego nikt na to wcześniej nie wpadł?”

Kolejna ważna zasada, o której powinien pamiętać każdy twórca gier projektowanych z myślą o smartfonach, tabletach i portalach społecznościowych, dotyczy specyficznego

rytmu życia tych programów. – Jeżeli gra się przebiega, a nie będziemy jej rozwijać, to bardzo szybko – po kilku tygodniach, do miesiąca – zacznie umierać – ostrzega Pańczyk. – Trzeba dawać nowe rozwiązania, poziomy, bo tego oczekują nabywcy. Jeżeli będą z niej zadowoleni, chętnie zapłacą za fajne dodatki; wręcz na to nalegają. Przeciętny gracz potrafi wydać w sumie 15 dolarów na grę, która kosztowała go początkowo 99 centów albo była za darmo. Są tacy, co wyłożą łącznie nawet 50 dolarów.

Zacznijcie od App Store

Big Daddy's Creations myślą o adaptowaniu swych gier na smartfony i tablety z systemem operacyjnym Android, ale nieopierzonym orłom elektronicznej rozrywki doradzają zaczynać od App Store – bo sklep Apple gwarantuje najlepszy stosunek inwestycji czasu i pieniędzy w stosunku do potencjalnych zysków. Użytkownicy urządzeń Apple przyzwyczajeni są do kupowania programów, piractwo jest relatywnie małe. I, co nie mniej istotne, by stworzyć gry na ios, wystarczy zainwestować w komputer Mac oraz wykupić konto w App Store w cenie 99 dolarów za rok. Na tym podstawowe koszty się kończą. Narzędzia programistyczne, o nazwie Xcode, dostępne są za darmo w Internecie. Podobnie jak wszelka potrzebna pomoc (dokumentacja, poradniki i tak dalej). Polacy są traktowani jako równorzędni partnerzy – co nie wszędzie jest regułą – formalności zredukowano do minimum, Apple ułatwia, co się da. I regularnie przelewa należności ze sprzedaży.

Obecna sytuacja to nowe rozdanie w przemyśle gier wideo – od lat najdynamiczniej rozwijającej się i profitowej gałęzi show-biznesu. Jak w pionierskich latach tej branży, można znów się przebić z niemalże garażową produkcją, stworzoną samodzielnie lub z garstką przyjaciół – bez 40 milionów złotych na inwestycję (tyle kosztowała Techland gra „Dead Island”). Wystarczy pomysł, talent i zrozumienie etosu rzemiosła. Polscy twórcy perfekcyjnie wyczuli swoją szansę i odnoszą zasłużone, zupełnie nieprzypadkowe sukcesy. Jako że wciąż jeszcze nie odjechał, mamy nadzieję, że wśród czytelników „Przekroju” też są osoby zdolne odnaleźć w tym eldorado swoją złotą żyłę. Serdecznie zachęcamy do skorzystania z okazji, która nie zdarza się często.

MAREK PAŃCZYK z Big Daddy's Creations zdradza sekret popularności gier smartfonowych na www.przekroj.pl oraz w „Przekroju” na iPadzie

TEŻ PYTANIE

? Kto pyta, nie błądzi. A my dalej szukamy odpowiedzi na wasze pytania. Nadsyłajcie je na adres nauka@przekroj.pl. Co tydzień przyznajemy nagrody!
KAROLINA SAWICKA



1. Dlaczego, według większości przepisów, do słodkich ciast trzeba dodać szczyptę soli?

Na pierwszy rzut oka wygląda to na bezkrytyczne powielanie babczych przesądów. Skoro trzeba dodać, to dodajemy, a co tam. Tymczasem ma to całkiem racjonalne wytłumaczenie. Do ciasta drożdżowego sól jest niezbędna, bo bierze udział w jego fermentacji. Podczas gdy cukier ją przyspiesza, sól działa na odwrót, a dokładne wyważenie jednego i drugiego składnika jest niezbędne do tego, by ciasto dobrze wyrosło. Bez soli fermentowałoby burzliwie, w efekcie byłoby zbyt miękkie i lepkie. Z kolei zbyt duża ilość soli nie-

potrzebnie wydłużyłaby ten proces. Idealny jest jeden procent soli w stosunku do ilości mąki. Sól wpływa także na strukturę ciasta, zwiększając zdolność zatrzymywania przez nie gazów wydzielanych w czasie fermentacji. W ciastach bez drożdży dodatek soli ma wzmocnić smak i aromat – tak przynajmniej twierdzą piekarskie autorytety. Jednak jeśli w tym przypadku o magicznej szczyptce zapomnimy, to może się zdarzyć, że albo nie poczujemy różnicy, albo po prostu ciasto będzie nieco słodsze niż zazwyczaj.

MAREK RACZKOWSKI



2. Dlaczego chmury są w różnych odcieniach szarości?

Z dużej chmury duży deszcz. Ale jeszcze większy z chmury ciemnej, takiej o odcieniu kobaltu lub brudnego granatu. Kolor, jaki przybiera obłok, zależy jest od rozmiaru kropli, z których się składa. Tak jak różne są rozmiary kropli deszczu (na przykład kapuśniaczek kontra wielkie krople rozpoczynające opad burzowy), tak samo różnią się od siebie rozmiary kropli wody wewnątrz samej chmury. Im są one większe, tym wypełniony nimi obłok wydaje się ciemniejszy. Krople chmurowe mają średnio około 10 mikrometrów, przy 100 mikrometrach zamieniają się w mżawkę, a powyżej tej wartości – w krople deszczu. To dlatego nietrudno przewidzieć, która z chmur w niedługim czasie rozpuści wokół nas solidną nawalnicę.



3. Zapomniałem o piwie w zamrażalniku – butelka pękła. Dlaczego?

Piwo nie jest tu niczym wyjątkowym – puchnie, czyli zwiększa swoją objętość w czasie zamarzania sama woda. Trzeba przyznać, że to w przyrodzie dość szczególny przypadek. Zmniejszaniu temperatury, a więc obniżaniu energii towarzyszy osłabienie drgań cząsteczek. A skoro słabiej się trzęsą, to zajmują mniej miejsca. W przypadku wody jest jednak odwrotnie – lód zajmuje więcej miejsca niż woda, z której powstaje. Winna jest tu struktura pojedynczej cząsteczki wody. Jeden tlen i przyłączone do niego niczym uszy dwa atomy wodoru sprawiają, że każde H₂O ma szczególnie rozkład ładunku elektrycznego: atomy wodoru są dodatnie, atom tlenu – ujemny. Sprawia to, że cząsteczki wody łączą się z sobą, tworząc wiązania zwane wodorowymi. Podczas zamarzania pozostaje między nimi mnóstwo wolnej przestrzeni. I to ta wolna przestrzeń rozpycha lód i i rozbija naszą butelkę z piwem.

Nasze nagrody:



Mary Roach „Bzyk. Pasjonujące zespolecie nauki i seksu” oraz „Duch. Nauka na tropie życia pozagrobowego” – wydawnictwo Znak; Gary Marcus „Prowizorka w mózgu” i Richard E. Nisbett „Geografia myślenia” – wydawnictwo Smak Słowa

Zostawcie Altamirę w spokoju

Prehistoryczne arcydzieła z Altamiry liczą podobno kilkanaście tysięcy lat. Niektóre badania dowodzą jednak, że mogą mieć nawet 35 tysięcy lat

Chciwość i brak skrupułów lokalnych urzędników mogą doprowadzić do zniszczenia prehistorycznych malowideł w hiszpańskiej jaskini Altamira. W dobie kryzysu możemy spodziewać się najgorszego

ANNA PIOTROWSKA

Te bizona z Altamiry naprawdę zapadają w pamięć. Są jak żywe, można sobie wyobrazić, że wędrują przez rozległe łąki, wokół nich brykają młode. Ludziom, którzy je namalowali co najmniej kilkanaście tysięcy lat temu, udało się uchwycić grację, siłę i nieskończoną żywotność tych stworzeń. Wkrótce jednak prehistoryczne malunki mogą zniknąć. Zarządzające jaskinią władze pobliskiego miasta Santillana del Mar planują bowiem ponownie otworzyć dla publiczności zamkniętą w 2002 roku grocie. Wtedy jej los

zostanie przypieczętowany. W ciągu następnych kilkunastu lat malowidła mogą zostać zniszczone przez drobnoustroje, które kolorowymi naciekami i plamami pokryją całe wnętrza jaskini. Wilgoć i dwutlenek węgla z ludzkich oddechów sprzyjają namnażaniu się tych maleńkich wandalów.

Coś mnie je, panie profesorze

Najgorsze jest jednak to, że Altamira już wcześniej ucierpiała na skutek nieodpowiedniego nadzoru. Przez blisko 100 lat – od momentu odkrycia malowideł w 1879 do 1977 roku – stanowiła wielką atrakcję turystyczną północnej

Hiszpanii. W rekordowym 1973 roku odwiedziło ją 174 tysiące ludzi. Stan malowideł pogorszył się wtedy na tyle, że jaskinię zamknięto – zacieki i plamy dosłownie rozlewały się na ścianach. Otwarto ją ponownie pięć lat później, a limit odwiedzających ustalono na 8500 osób rocznie. Nie przyniosło to jednak spodziewanego rezultatu – drobnoustroje zżerały malowidła, dlatego jaskinię ponownie zamknięto.

Bardzo ciekawy tekst podsumowujący zagrożenia związane z obecnością ludzi w Altamirze na łamach „Chemical & Engineering News” opublikowała ostatnio Carmen Drah,

która punkt po punkcie wymienia wszystkie problemy, jakie mają z jaskiniową florą i fauną pracujący tam uczeni.

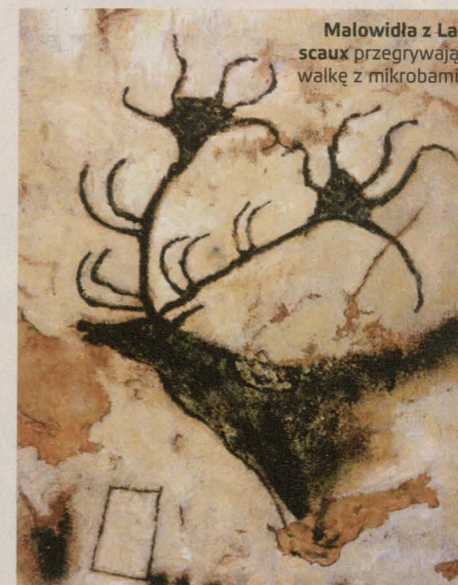
Na przykład do końca nie wiadomo, jakiego rodzaju mikroorganizmy zamieszkują ściany groty. A przecież trudno zwalczać coś, czego się nie zna. Z raportu pracujących dla hiszpańskiego rządu naukowców: Sergia Sáncheza Morala i Cesárea Sáiza Jiméneza, wynika na przykład, że wielkim zagrożeniem dla tamtejszych malowideł są grzyby. Tymczasem inny badacz, także pracujący dla hiszpańskich władz – Juan M. González Grau, twierdzi, że włókienka, przypominające na pierwszy rzut oka grzyby, mogą być także produkowane przez pająki. Na dodatek badania genetyczne zebranego na ścianach materiału nie przyniosły rozstrzygającego rezultatu. Teoretycznie ustalono, że to grzyby, ale tezę tę podważają naukowcy pracujący przy ochronie Lascaux – francuskiej jaskini także słynącej ze swych prehistorycznych malowideł.

Specjaliści głowią się na potęgę. Brak konkretnych informacji wstrzymuje bowiem zastosowanie niektórych środków. Trzeba jednak przyznać, że w ostatnim czasie zrobiono wiele, by ratować hiszpański skarb. Zespół Sáiza Jiméneza usunął trawę z okolic jaskini oraz zakazał w okolicy wypasu krów. Okazało się bowiem, że odchody zwierząt użyźniają glebę i wody podziemne do tego stopnia, że stymuluje to wzrost mikroorganizmów w jaskini. Zainstalowano też nowe drzwi, które zapobiegają dostawaniu się do wnętrza zarodników rozmaitych pleśni, oraz usunięto sztuczne oświetlenie. Blask lamp napędzał bowiem fotosyntezę i rozwój wielu bakterii. Posunięcie

to przyniosło wymierne rezultaty – zielone nacieki zaczęły się zmniejszać.

Liszaje przez tłuszcze

Nic dziwnego, że Sáiz Jiménez optuje za całkowitym zamknięciem Altamiry. Najlepszym przykładem tego, do czego może doprowadzić brak wyobraźni w dziedzinie ochrony prehistorycznych malowideł, jest grota Lascaux. Odkryta w latach 40. XX wieku, w latach 50. i na początku 60. stała się turystycznym piekłem – dziennie odwiedzało ją ponad tysiąc osób. Nic dziwnego, że jej malowidła wkrótce pokryły się liszajami. Lascaux zamknięto już w 1963 roku, lecz od tego czasu niewiele się poprawiło. Wciąż pojawiają się tam nowe grzyby, których pochodzenie w dużej mierze



Malowidła z Lascaux przegrywają walkę z mikroorganizmami

W rekordowym 1973 roku hiszpańską jaskinię Altamira odwiedziło 174 tysiące wielbicieli sztuki

pozostaje nieznaną. Nic więc dziwnego, że kiedy w 1994 roku we Francji znaleziono kolejną bogatą w prehistoryczne malunki jaskinię Chauvet, w ogóle zakazano do niej wstępu. Miejsce to mogą odwiedzać jedynie naukowcy.

Co stanie się z Altamirą? Być może zamiast wpuszczać tam ciekawskich, warto rozbudować stojącą obok replikę? Tego typu posunięcie sprawdziło się w przypadku Lascaux. Sztuczna grota daje wyobrażenie tego, co można zobaczyć w prawdziwej. Innym rozwiązaniem jest utworzenie internetowej aplikacji pozwalającej „poruszać się” po Altamirze. I na tym polu Francuzi mają doskonałe doświadczenia. Dzięki stronie www.lascaux.culture.fr możemy zobaczyć Lascaux oczami prehistorycznego łowcy, bez przepychanek, tłumów. Czysta przyjemność.

Problem oczywiście w tym, że żadna, nawet najdoskonalsza aplikacja internetowa czy replika nie przyniesie lokalnej społeczności takich zysków jak prawdziwa, otwarta (nawet dla ograniczonej liczby turystów) jaskinia. Czym innym jest bowiem oglądanie zdjęć egipskich piramid, a czym innym – możliwość wejścia do jednej z nich, nawet jeśli tłum turystów napiera nam na plecy. Dlatego krzyk o ratunek dla Altamiry może, niestety, przejść bez echa.

REKLAMA

Uwaga kierowco!

Zmiany w prawie drogowym na 2012 r.

Zmiany przepisów na drodze

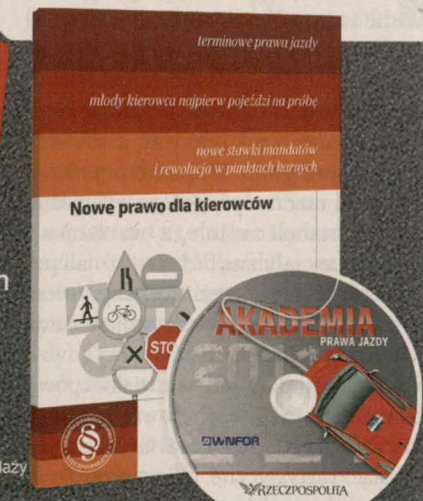
Już we wtorek, 8 listopada „Nowe prawo dla kierowców”, sprawdź: termin ważności nowych dokumentów, zasady nowego egzaminu na prawo jazdy. Jak zmieniają się zasady pozbywania się punktów karnych oraz nowe stawki mandatów.

A w środę, 9 listopada „Akademia Prawa Jazdy”.

Tylko z „Rzeczpospolitą”

RZECZPOSPOLITA rp.pl/hity

Wydanie z broszurą i płytą dostępne w punktach sprzedaży oraz dla prenumeratorów Pakietu Plus.





Staramy się, by nasze życie było puste

Dwóch odzianych w garnitury dżentelmenów z nienagannymi manierami od czterech dekad tworzy dzikie, niepoprawne, agresywne, wizjonerskie obrazy. Najnowsze zobaczymy 10 listopada w gdańskim csw Łaźnia. W przededniu wystawy spotykam się z Gilbertem i George'em w ich londyńskim domu przy Fournier Street, czyli w miejscu, które oznaczyli jako centrum wszechświata

STACH SZABLŃSKI, LONDYN



Gilbert Proesch i George Passmore (z prawej). Nierozłączni od 45 lat

Fot. Marcus Brandt/APP Photo/East News

To była miłość od pierwszego wejrzenia - wspominają. Spotkali się w 1967 roku na studiach w Central Saint Martins College of Arts. Od tamtej pory mało kto widział któregoś z nich osobno. George Passmore, rocznik 1942, rodem z Plymouth, oraz o rok młodszy, pochodzący z włoskiego Tyrolu Gilbert Proesch najpierw zaczęli razem żyć, potem wystawiać. W 1969 roku stanęli na stole i z twarzami wymalowanymi metaliczną farbą wykonali performance „Śpiewająca rzeźba” - przez osiem godzin śpiewali i tańczyli międzywojenny szlager „Underneath the Arches”.

Wkrótce potem porzucili nazwiska i powołali do życia artystę o dwóch głowach i dwóch ciałach - Żywą Rzeźbę Gilberta i George'a. Wydawali książki artystyczne, pili na umór (w filmowej rejestracji performance'u „Gordon's Makes Us Drunk” z 1972 roku oglądamy, jak

powoli upijają się do nieprzytomności tytułowym ginem), utrzymują, że wywarli ogromny wpływ na młodego Malcolma McLarena, byli punkowi na kilka lat przed narodzinami punka - w dodatku nie zdejmując garniturów („Guardian” opisał je jako idealne dla angikańskich wikarych po godzinach) i czesząc się z przedziałkiem. Przede wszystkim jednak tworzyli „The Pictures”, czyli po prostu „Obrazy”. Zawsze zaczyna się od fotografii - ciętych, łączonych w fotomontaże, nakładanych na siebie i przekształcanych. Tak powstają moduły, wizualne klocki, z których budują współczesną odpowiedź na średniowieczne witraże. W tych obrazach stworzonych z dziesiątków i setek innych obrazów ma się zmieścić dosłownie wszystko: seks, przemoc, pieniądze, rasizmy i wulgaryzmy, kosmologia i skatologia, religia i polityka, skinheadzi i muzułmańscy emigranci, piękno i obsceniczna brzydota.

g&g chcą pokazać cały świat - a jednocześnie cały ich świat zamyka się w kwartale kilku ulic na londyńskim East Endzie.

Wszystkie zdjęcia do prac wykonują tutaj, twierdząc, że jeżeli czegoś nie ma w okolicach ulicy Brick Lane, to znaczy, że to coś w ogóle nie istnieje. Na Brick Lane hipsterzy mieszają się z mułami, emigranci z Polski stołują się w bengalskich jadłodajniach, mury zdobią graffiti Banksy'ego, a kioskarze sprzedają japońskim turystom koszulki z napisem „I love Bangladesh”... W bok odchodzi Fournier Street, krótka uliczka, która zaczyna się meczetem, a kończy kościołem. Pomiędzy jedną i drugą świątynią stoją domy z ciemnej cegły, wyglądają niepozornie, ale kosztują majątek. Ostatnio sprowadziła się w tę okolicę plejada gwiazd brytyjskiej sztuki z Tracey Emin na czele. Za artystami pociągnęli yuppies. W jednym z tych domów mieszkają Gilbert & George.

Drzwi otwiera ten drugi i zaczyna od przeprosin za bałagan, dom jest w totalnym remoncie. Przedzieramy się do pracowni, czeka tam Gilbert. Obaj są oczywiście w strojach służbowych, George w ciemnozielonym, a Gilbert w brązowym, tweedowym garniturze. Opowieści o ich doskonałych angielskich manierach nie są przesadzone. Obaj są uroczy. I doskonale zsynchronizowani. Dżentelmenów jest dwóch, ale mam wrażenie, że rozmawiam z jedną osobą. George zaczyna zdanie, ale kończy je Gilbert. Zanim zdążymy usiąść, artyści proponują:

- Robimy właśnie nowy projekt.

- Jest niezwykle! Chcesz go zobaczyć?

Oczywiście, że chcę. Idziemy więc do sąsiedniego pomieszczenia - prywatnej fabryki sztuki wypełnionej skanerami i ogromnymi drukarkami. Asystent wypuszcza właśnie z jednej z nich fragment nowego dzieła.

- Jesteśmy samowystarczalni - w każdej dziedzinie.

- Mieszkamy na górze, a w pracowni tworzymy sztukę.

Pokazują mi świeżutki fragment nowej pracy: w tle czarno-białe wizerunki Gilberta & George'a, którzy niczym duchy wylaniają się z murów, na pierwszym planie wielkie gazetowe nagłówki z wybitymi na czerwono słowami: „Morderstwo”, „Gwałt”, „Napad”...

- Od lat fascynowały nas reklamy tabloidów przed kioskami z gazetami w Londynie. „Kobieta ginie w metrze”, następnego dnia „Mężczyzna umiera w parku”, „Brytania na celowniku terrorystów”, „Śmierć rowerzysty”.

- Od lat podkradamy te plakaty.

- Ukradliśmy ich już prawie cztery tysiące!

- Te plakaty po prostu sprzedają gazety - a jednocześnie za każdym stoją czyjeś indywidualne tragedie, smutek i rozpacz.

- I nie tylko to: te plakaty opowiadają współczesną, miejską historię, która jest tym bardziej niezwykła, że absolutnie prawdziwa.

- To rzeczywistość zachodniego świata.

- Możemy ci ją pokazać.

- To jest część o morderstwach.

- Morderstwa!

- Ostatnio popełnia się mnóstwo morderstw.

- Właśnie je drukujemy.

g&g starannie posegregowali tysiące sensacyjnych newsów o tragediach z ładnych kilku lat. Częścią ich sztuki zawsze było budowanie typologii, ujmowanie strumienia rzeczywistości w wizualne systemy.

- Kiedy zdecydowaliśmy, że użyjemy tych komunikatów, postanowiliśmy je uporządkować. Morderstwa z morderstwami, gwałty z gwałtami, osobna seria o terrorze. Osobny zbiór o pieniądzach. O samobójstwach. O tragediach dzieci. Dziewczynki. Chłopcy. Kobiety. Mężczyźni.

Kiedy mówią o początkach swojej kariery, lubią używać określenia *baby artists* - artystyczne dzieci.

- Kiedy byliśmy artystycznymi dziećmi, Nowy Jork był pępkiem świata sztuki. W tym czasie był także światową stolicą zabójstw. I globalną stolicą narkotyków.

Chcecie powiedzieć, że istnieje związek między wysokim poziomem przemocy w mieście a wysokim poziomem sztuki?

- Nie, po prostu sztuka lubi miejsca, które są na krawędzi. Miejsca ekstremalne jak dzielnica Londynu.

Nawet jeżeli to, co pokazują, jest rzeczywistością, to widziana od bardzo ciemnej strony, w dodatku opowiedzianą skandalizującym językiem brukowców. Pytam, jakie zajmują stanowisko wobec tak opowiedzianej rzeczywistości.

Może was przeraża?

- Nas? Nie, my się nie boimy. To po prostu realizm. Kochamy życie! Możesz spojrzeć na te prace jak na apoteozę życia na Zachodzie. „Morderstwo”, „Zabójstwo”, „Zboczeniec atakuje”. Celebryzujemy tę rzeczywistość. Nie jesteśmy artystami krytycznymi. Nie jesteśmy przeciw Ameryce, bombom atomowym, kapitalizmowi. Nie interesuje nas wyrażanie poglądów. Wszyscy artyści palą się dziś, aby wyrazić swe poglądy. My nie jesteśmy przeciw systemowi.

- „Zabita przez córkę”, „Broń”, „Pieniądze”. Te prace będą ogromne. Ta na przykład będzie miała 10 metrów szerokości. 10 metrów morderstw. To wspaniały temat.

Czytacie brukowce reklamowane przez plakaty, które cytujecie?

- My? Skąd! Kupujemy „Daily Telegraph”, najpopularniejszą gazetę w Wielkiej Brytanii.

Znów pochylamy się nad projektami.

- Zobacz, wszystkie tła do naszych prac pochodzą z miejsca, w którym mieszkamy, głównie z naszej ulicy. To zdjęcie zrobiliśmy minutę drogi stąd. Nigdy zresztą nie chodzimy dużo dalej.

- W ogóle nigdzie nie chodzimy.

Dosłownie?

- Nie jeździmy do Tangeru po inspirację ani do Nowego Jorku zobaczyć, co tam słychać. Dla nas tu, na East Endzie, jest centrum wszechświata. Najbardziej multikulturowe i zwariowane miejsce, w jakim kiedykolwiek byliśmy. Artyści, designerzy, bogaci, biedni. Gdyby przylecieli kosmici i powiedzieli, że mają dwie minuty, aby obejrzeć jakieś typowe ziemskie miejsce, gdzie byś ich wysłał? Chyba nie do Zurychu? Szaleństwo teraźniejszości jest tutaj!

- Jeśli spytać ludzi, co by zrobili, gdyby wygrali na loterii, mówią, że natychmiast →

→ pojechaliby w podróż dookoła świata. A tymczasem ludzie z całego świata chcieliby mieszkać tu, na Brick Lane. Ta mała, gówniana uliczka jawi im się jako raj. Nie mogą sobie wyobrazić niczego lepszego. Nawet chłopcy z City – bardzo bogaci – marzą, aby mieć dom w tej dzielnicy.

- Za późno!
- Za późno. Byliśmy pierwszymi, którzy kupili tu dom
- W 1973 roku.
- Za 20 tysięcy funtów. To był wtedy jeden wielki żydowski slums.

I gdzie się podzieli Żydzi? Zostali wykupieni przez bogatych artystów?

- W latach 70. kiedy zatrzymywałeś takśówkę i mówiłeś, że chcesz jechać w okolicę Brick Lane, budziłeś najgorsze podejrzania. Zapuszczanie się w tę dzielnicę było jak wejście w rzeczywistość z powieści Dickensa: świat Kuby Rozpruwacza, włóczędzy, alkoholicy, wyrzutki!

- Sprowadziliśmy się tu, bo było tanio – i mogliśmy żyć razem. Gdzie indziej nie uszłoby nam to na sucho. Tu wszyscy mieli nas gdzieś.

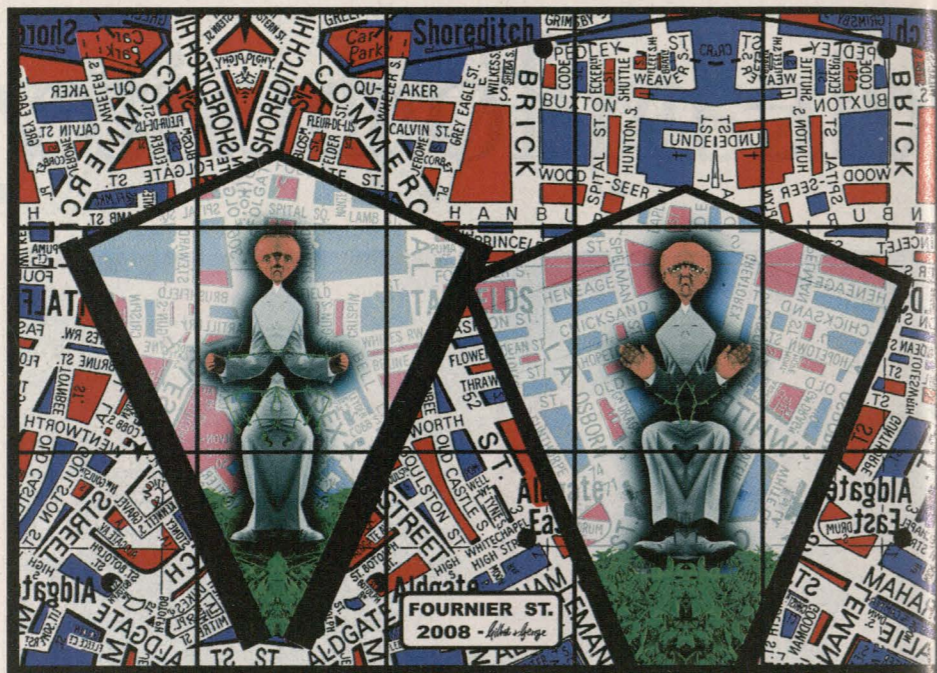
- Mieszkała tu rzesza bezdomnych mężczyzn. Połowa to byli zagubieni weterani i inwalidzi wojenni. A druga to członkowie mniejszości seksualnych z prowincji. W tych czasach jeżeli przyłapali cię na prowincji na bezbożnych praktykach seksualnych, musiałyś zniknąć. Następnego dnia miało cię nie być w miasteczku – bez pożegnań i ceregieł. Nikt o tych ludzi później nie pytał, a oni lądowali tu, na ulicy, i marnowali sobie życie. Teraz zastąpili ich zagubieni przybysze z Europy Wschodniej.

- Są ich tysiące. Rosjanie. Litwini. Łotysze. Polacy.

- Mnóstwo Polaków.
- Cyganie, Rumuni...
- Życie się zmienia. Kiedy mieszkali tu rosyjscy chasydzi, działała synagoga, która dziś jest meczetem – a jeszcze kiedyś była kościołem. Lubicie zmiany?

- O tak! Zmiana oznacza dla nas postęp. Do naszych drzwi często pukają ludzie zbierający podpisy pod protestami przeciwko różnym rzeczom. Klasa średnia uwielbia zbierać podpisy. Nigdy nie podpisujemy tych protestów.
- Jesteśmy za to zawsze gotowi podpisać petycję, które są za czymś. Takie podpisujemy, nawet ich nie czytając.

g&g to jednak jeden wielki paradoks. Deklarują, że podnieca ich dynamika świata, uwielbiają zmiany, a jednocześnie od dekad ubierają



się zawsze tak samo i latami wydeptują te same ścieżki. Artyści nie widzą w tym jednak sprzeczności.

- Nie tracimy czasu na dumanie, gdzie by tu pójść na kolację. Od 15 lat jemy w tej samej tureckiej knajpie. Nie tracimy czasu nawet na czytanie menu. Można często zobaczyć ludzi, którzy medytują nad kartą dań przez 20 minut. My wolimy poświęcić ten czas na coś bardziej kreatywnego. Mamy po sześć par butów, ale wszystkie są takie same, więc nie musimy wybierać, które włożyć. Nie gotujemy. Nie chodzimy na zakupy, żadnego kina, teatru, opery czy baletu.

- Kultura to przetrwane życie. Nas interesuje ono w postaci surowej. Sashimi z życia. A wystawy?

- Masz na myśli wystawę innego artysty? – upewnia się George.

Trzy minuty na piechotę od domu g&g mieści się galeria Whitechapel, w której trwa właśnie wystawa Wilhelma Sasnala. Mam nadzieję, że artyści chodzą chociaż tam i podzielią się jakimś ciekawymi uwagami na temat naszego narodowego bohatera. Nic z tego.

- Galerie i muzea pękają ostatnio w szwach od klasy średniej

- Miliony ludzi! Brrr.

- Miliony każdego dnia. Coraz więcej ludzi chodzi do galerii, aby oglądać te nielegalne obrazy.

Nielegalne obrazy? Co macie na myśli?

- Na przykład Ukrzyżowania. Nie wolno przecież krzyżować ludzi. Uważamy, że sztuka chrześcijańska powinna być usunięta

Lokalny patriotyzm czy megalomania? Gilbert & George na „Fournier Street” (2008)



z galerii narodowych i umieszczona w jakiejś sekcji specjalnej.

- To religijna propaganda, a nie sztuki pięknej. Wy sami bez przerwy poruszacie temat religii w swojej sztuce.

- Nasza religia polega na tym, że jesteśmy przeciwnikami wszelkich religii. „Zakazać religii” – oto nasze motto.

Dlaczego?

- Ponieważ prowadzi do zbrodni. Każdego dnia ktoś popełnia samobójstwo albo zostaje zamordowany z powodów religijnych.

W Londynie za sprawą polskich katolików rośnie liczba ataków na młodych mężczyzn; pięknie się ubiera, więc na pewno jesteś ciotką – i bum. Papież ma w tej sprawie bardzo jasne stanowisko. Muzułmanie są tacy sami, pragną powrócić do średniowiecznego modelu społeczeństwa.

Gilbert i George powtarzają, że wszystko im się podoba, że są entuzjastycznie nastawieni do życia i optymistycznie patrzą w przyszłość. Tymczasem świat tonie w długach, młodzi ludzie plądrują sklepy, bo nie wiedzą, kim mają być, fundamentaliści żądają wprowadzenia w niektórych dzielnicach Londynu szariatu. Na jakiej właściwie podstawie ufundowany jest optymizm artystów?

Gdzie byliście, kiedy londyńczycy ruszyli latem plądrować sklepy?

- W restauracji. Pijemy kawę na deser, kiedy wpada kelnerka i woła: wychodźcie! Nie zapłaciliśmy nawet rachunku. Patrzymy przez okno, a tam nadciągają setki ludzi. Zaczynają się właśnie cholerne rozruchy.

- Było w tym coś bardzo żalostnego. Jakiś facet umykający z parą butów w ręce. Chłopek, który spłądował sklep i wyniósł z niego tabliczkę czekolady.

- Ci ludzie nie mają nic do roboty. Nie mają pomysłu, kim chcieliby się stać – nawet nie chcą się kimkolwiek stać. To jest luksus życia w nowoczesnym świecie – nie musisz być kimkolwiek. To nowy rodzaj wolności – wolność do nicnierobienia.

George zastanawia się jeszcze chwilę nad rozruchami.

- Przynajmniej ci młodzi ludzie z ostatnich zamieszek fajnie się ubierają i pięknie wyglądają. To im trzeba przyznać.

- Tak, ale poza tym to bardzo smutne pokolenie. Są ofiarami. To się dzieje wszędzie: w Grecji ludzie demolują śródmiścia, we Francji palą samochody na przedmieściach, w Nowym Jorku okupują banki.

- W sprawach banków jesteśmy staroświeccy. Nigdy nie pożyczaliśmy i nie pożyczamy pieniędzy.

Nie zaciągacie kredytów?

- Żadnych kredytów.

- I żadnych kontraktów. Nie podpisujemy umów z galeriami.

g&g zaczęli niedawno współpracę z White Cube. To olimp londyńskiej sceny, kierowana przez charyzmatycznego marszanda Jaya Joplinga potężna galeria, która reprezentuje między innymi Damiena Hirsta czy Mirosława Bałkę.

Z Joplingiem też nie macie umowy?

- Nawet z nim – ani z żadnym z naszych 10 marszandów na świecie. Pracę oddajemy galeriom wyłącznie w komis, bo sami finansujemy całą produkcję. Galerie nie muszą w nas nic inwestować. Zresztą nie przyjęlibyśmy takiej inwestycji. Czuliśmy się wówczas zobowiązani do tworzenia sztuki, a to byłoby bardzo krępujące. Nie należymy do gatunku artystów, którzy doją system.

- Jesteśmy niezmordowanie optymistyczni. Gdybyśmy byli pesymistami, musielibyśmy zająć się sztuką krytyczną – tak jak wszyscy normalni artyści. Zawsze przeciw czemuś – przeciw wojnie, przeciw pani Thatcher, przeciw temu czy tamtemu. To zbyt nudne.

W Gdańsku Gilbert & George pokazują „Jack Freak Pictures”, projekt, który jest szaloną apoteozą brytyjskiej flagi. Ciekaw jestem, jak bardzo identyfikują się z Brytanią – ci brytyjscy artyści w garniturach z brytyjskiego tweedu i ze swoim niesamowitym angielskim akcentem. Czy Union Jack jest flagą, którą lubią powiewać?

- Kiedy byliśmy artystycznymi dziećmi, nasi nauczyciele mówili, że prawdziwa sztuka pochodzi wyłącznie z krajów, w których rośnie wino. Manet, Monet, Bonnard, Matisse – ani jednego angielskiego nazwiska godnego uwagi. Potem uczone nas, że prawdziwa sztuka pochodzi z Nowego Jorku. Angielski artysta – to wyrażenie uchodziło za oksymoron. Pragnęliśmy udowodnić, że to nieprawda – że oto stoimy tu, po kostki w angielskim błocie, i jesteśmy artystami. Walka o brytyjską sztukę to była trudna bitwa, którą trzeba było wygrać. Ta bitwa wciąż zresztą trwa. Spójrz na Tate Gallery, która jest podzielona na dwa muzea – Tate Modern i Tate Britain. Pytamy: co to znaczy? Istnieją artyści nowoczesności i artyści brytyjscy? To nie w porządku. To apartheid.

- Wracając jednak do flagi, to obraz o ogromnej emocjonalnej sile, a my takie lubimy. Kiedy żołnierze brytyjski zginie w Afganistanie, przysyłają go do kraju okrytego flagą...

- W latach 80., gdy zaczęliśmy jej używać, była niebezpiecznym symbolem. Wymachując flagą, można było ściągnąć na siebie podejrzania o szowinizm i nacjonalistyczne skłonności. Lewicowi intelektualiści zawsze trochę bali się flagi.

- Do niedawna powiedzieć, że głosuje się na konserwatystów, było najgorszą rzeczą, do jakiej można się było przyznać w środowisku artystycznym w Wielkiej Brytanii.

Na kogo wy głosujecie?

- Na konserwatystów.
- Ja nigdy nie głosuję. Potem żałuję, ale jest już za późno.

- Na konserwatystów.

- Ja nigdy nie głosuję. Potem żałuję, ale jest już za późno.

Zyćcie razem, pracujecie razem. Nie jesteście czasem zmęczeni swoim towarzystwem?

- Czasami. Wtedy, kiedy idziemy na kolację, ja wybieram bezpieczniejszą, dłuższą drogę, a Gilbert idzie na skrót. I docieramy obaj na miejsce punktualnie o ósmej.

Nie robimy naszej sztuki, sami nią jesteśmy, żyjącą rzeźbą, która chodzi i mówi. Istnieją dwie osoby, ale jeden artysta. Oto cały sekret

- To dlatego, że mam płaskostopie. Bola mnie nogi, nie mogę za dużo chodzić.

Przedstawiacie się jako dzieło sztuki. Nie macie czasem ochoty wyjść z roli? Na przykład wasze garnitury – są fajne, ale nie kusi was, aby ubrać się inaczej?

- Nasze garnitury rzeczywiście stały się rodzajem uniformu g&g. Stało się tak jednak stopniowo, kiedyś to były zwykłe garnitury.

- W latach 70. nosiliśmy je, bo nie chcieliśmy wyglądać jak artystyczna bohema. Nie chcieliśmy być hipisami odzianymi w dziwne stroje. Chcieliśmy być artystami, którzy wyglądają tak, by ich matki się nie wstydziły. To zresztą akurat nie do końca nam wyszło...

- Człowiek w garniturze wszędzie wygląda naturalnie, nie przeszukują go na lotnisku. Możesz lepiej uwodzić. Ludziom w garniturach więcej uchodzi na sucho.

- Mamy garnitury robocze i wieczorowe. Najlepsze jest to, że nie musimy się zastanawiać, w co się ubrać.

- Prowadzimy bardzo proste życie. Nie mamy rodzin, nie trwoniemy czasu na bywanie, nie jeździmy na wakacje – mamy mnóstwo czasu. Dokładamy starań, aby nasze życie było puste.

Czy kiedy 40 lat temu zaczynaliście przedsięwzięcie pod nazwą Gilbert & George, planowaliście, że tak to będzie wyglądać?

- Nie zawsze byliśmy tacy. Wyrzeźbił nas wrogi świat, to on nas stworzył – atakując, odzyskując, wytykając palcami. Musieliśmy obaj w nim przetrwać, więc stworzyliśmy tę trzecią osobę.

Taka jest natura bestii



„Czarny koń”, czyli Solondz w wersji light

Robienie filmów to koszmar. Ale zawsze błagam o kilka dni więcej na kręcenie – mówi „Przekrojowi” **TODD SOLONDZ**. Największy prześmiewca kina niezależnego przyjedzie do Wrocławia na 2. Amerykański Festiwal Filmowy z „Czarnym koniem” i pięcioma innymi fabułami

ROZMAWIAŁA **KAROLINA PASTERNAK**

Jako dziecko byłeś czarnym koniem?

– Nie, rodzice mieli bardzo optymistyczne wyobrażenia na temat mojej przyszłości.

Zawiedli się?

– Nie, myślę, że są bardzo dumni.

Słowo wstępne do „Czarnego konia”, napisane przez ciebie na 68. Międzynarodowy Festiwal Filmowy w Wenecji, brzmiało tak:

„Po prostu chciałem sprawdzić, czy jestem w stanie zrobić film, w którym nie pojawi się temat gwałtu, pedofilii i masturbacji. Jestem zdania, że stawianie sobie wyzwań jest ważne”. To bodaj najwięźlejsze oświadczenie reżyserskie spośród tych, które znalazły się w katalogu imprezy.

– Chcę, żeby sam film był oświadczeniem, więc jestem generalnie przeciwny wyjaśnianiu

treści. Chodziło mi o to, że za każdym razem, gdy robię film, próbuję atakować materiał z innej strony, żeby powstało coś świeżego. Oczywiście jestem ograniczony przez to, kim jestem i jaką mam wrażliwość, to wpływa na „barwę” moich filmów.

„Czarny koń” wydaje się dużo „jaśniejszy” niż poprzednie. Nadal poruszamy się po znanych z nich amerykańskich przedmieściach, ale zdajesz się mieć dla ich mieszkańców dużo więcej wyrozumiałości, traktujesz ich łagodniej niż w „Witaj w domku lalek” czy „Happiness”.

– To zabawne, bo gdy ja oglądam ten film, wydaje mi się bardzo smutny. Wiem, że jest w nim humor, ale tłum go tragizm. To, że nie ma w nim kontrowersyjnego materiału znanego z moich poprzednich obrazów, nie czyni

„Czarnego konia” lżejszym. Porusza mnie postać Abe’a, mężczyzny próbującego przez kolekcionowanie zabawek, gier wideo, kurczowo utrzymać kontakt ze światem, którego już nie ma. Ten statek odpląnął, a Abe tego nie akceptuje. To wyparcie jest przyczyną tego, że mnóstwo ludzi dziś cierpi. W przeciwnym razie chirurgia plastyczna nie cieszyłaby się takim powodzeniem.

Myślisz, że to, iż nie ma w „Czarnym koniu” kontrowersyjnego materiału, ma jakiś związek ze zmianami w twoim życiu? Niedawno zostałeś ojcem.

– Jeśli tak, to nie jestem tego świadomy. **O ludziach takich jak Abe mówi się: „pokolenie Piotrusia Pana”. Czterdziestka to nowa trzydziestka, trzydziestka – nowa dwudziestka**

i tak dalej. To niepokojące, że dziś za wszelką cenę staramy się opóźnić nie tylko proces starzenia, ale też dorastania.

– Pokusa niebrania na siebie odpowiedzialności tak długo, jak to tylko możliwe, jest bardzo pociągająca. Zazwyczaj dopiero okoliczności zmuszają nas do tego, by dorosnąć. Oczywiście inną sprawą jest to, że dziś jesteśmy do „niedorastania” zachęceni, bo gdy obywatele zajmują się zabawą, rząd może utrzymywać polityczną *status quo*. Infantyliizacja to sposób na odwrócenie uwagi od spraw ważniejszych.

Abe jest projekcją twoich własnych lęków?
– Jeśli tak, to także tego nie jestem świadomy. Traktuję go z empatią, łączę się z nim emocjonalnie – jak z każdym z moich bohaterów. Po co miałbym robić o nich filmy, gdyby tak nie było?

Od lat powtarzasz, że kręcenie filmów to dla ciebie koszmar.

– Ale nie oznacza to, że nie wiąże się z gratyfikacjami. Gdyby ich nie było, pewnie przestałbym kręcić. Najgorsza jest sama produkcja, bo to głównie zarządzanie, a nie tworzenie, zarządzanie czasem. Ale mimo iż produkowanie filmu jest koszmarem, za każdym razem kończy się na tym, że i tak walczysz o kilka dodatkowych dni na kręcenie zdjęć. Taka jest natura tej bestii. Chociaż nie mogę powiedzieć, że nie znoszę wszystkiego, co wiąże się z pracą nad filmem. Czerpię przyjemność z castingu, z montażu... No i uwielbiam oglądać filmy.

Uwielbiam chodzić do kina, oglądanie na laptopie to dla mnie jak odrabianie pracy domowej.

A z pracy z aktorami? Dotykasz tematów tabu, twoi aktorzy, także małoletni, muszą konfrontować się z bardzo trudnymi emocjonalnie scenami.

– Na pracy z aktorem nie spędzasz, paradoksalnie, tak dużo czasu. Szczególnie jeśli robisz filmy niezależne, podczas kręcenia których jesteś w nieustannym pośpiechu. Z aktorami najintensywniej pracuje się podczas castingu. Na planie stres i presja czasu powodują, że myśli się głównie o tym, by udało się w pełni wykorzystać daną lokalizację i przejść do następnej.

Twój stosunek do robienia filmów przypomina mi postawę Woody’ego Allena, który też z jednej strony nie może przestać kręcić, z drugiej nieustannie narzeka na sam proces realizacji. A od kiedy pracuje w Europie, w zestawieniach box office’u idzie mu znacznie lepiej. Nie myślałeś nigdy o tym, żeby spróbować poza USA?

– Kiedyś moi producenci sprawdzali takie możliwości. Francja czy Kanada mają dla takich filmowców jak ja subsydia. W tych krajach można ubiegać się o dofinansowanie dla „filmu artystycznego”. Problem polega na tym, że nie jestem Francuzem ani Kanadyjczykiem, lecz obywatelem Stanów Zjednoczonych. Nie mógłbym się o nie starać, nawet gdybym chciał.

A mógłbyś zrobić film komercyjny, dla wielkiego studia hollywoodzkiego?

– Lata temu miałem spotkanie z Drew Barrymore na temat „Aniołków Charliego”. Studio rozważało mnie w roli reżysera. Pomysł zabawy tymi ikonicznymi postaciami z popkultury wydał mi się intrygujący. Do współpracy jednak nie doszło, co było od początku do przewidzenia. Gdyby studio mnie zatrudniło, zamiast 300 milionów dolarów zysku z „Aniołków” miałyby trzy. Moje zainteresowania leżą gdzieś indziej niż zainteresowania masowej publiczności. Tak naprawdę jestem wdzięczny, że wciąż mam jakąkolwiek publiczność. Kontynuacja tradycji amerykańskiego kina niezależnego jest dziś wielkim wyzwaniem. Większym niż kiedykolwiek. Filmy ogląda się dzisiaj przez Internet, przez Netflix’a, telewizję kablową, ściągając na komputer. Za żadne pieniądze. Myślałem, że „Życie z wojną w tle” będzie moim ostatnim filmem. Sam dziwię się, że nie było. Mój każdy kolejny przynosi mniejszy zysk niż poprzedni. Po każdym zakładam, że nie nakręcę następnego. Bo niby dlaczego ktoś miałby we mnie inwestować? W przypadku „Czarnego konia” ktoś taki się znalazł, za co jestem bardzo wdzięczny. Czy spodziewam się, że nakręcę kolejny? Zupełnie szczerze: nie.

www iPad Urszula Snięgowska przedstawia retrospektywę oraz najciekawszych gości American Film Festivalu na www.przekroj.pl oraz w „Przekroju” na iPadzie

Pan od wypaczeń



Foto: François Durand/Getty Images/News

– Gdy tylko zaczynasz pisać, twoja opowieść staje się fikcją – tłumaczy jeden z bohaterów jego „Opowiadania” (2001). W odniesieniu do Solondza krytycy bardzo często tę zasadę ignorują. W każdym napisanym i wyreżyserowanym przez niego obrazie usiłują doszukać się wątków autobiograficznych. Najzabawniejsza wydała mi się sugestia dziennikarza „Guardiana”, który stwierdził, że by wytropić *alter ego* filmowca, należy „podążać za okularami”: jeśli bohater je nosi, znaczy, że to z nim utożsamia się reżyser.

Czy Solondz jest granym przez Philipa Seymoura Hoffmana Allenem z „Happiness” (1998) albo Dawn z „Witaj w domku dla lalek” (1995)? Gdy autor z takim uporem i konsekwencją drąży przez 15 lat te same bulwersujące opinie publiczną tematy, faktycznie można przypuszczać, że ma to podłoże autobiograficzne. Że to Todd był

dzieckiem zaniedbywanym przez rodziców i wyszydzanym przez znajomych (Dawn), że musiał w swoim życiu zetknąć się z perwersyjnymi upodobaniami erotycznymi, którymi tak obficie obdarza swoich bohaterów. Już samo „Happiness” mogłoby posłużyć za indeks wypaczeń współczesnego społeczeństwa: jeden bohater jest pedofilem, inny się masturbuje, słuchając przez telefon głosów przypadkowo wybranych z książki telefonicznej kobiet. Jest też dziewczyna, która morduje swojego gwałciiciela i trzyma części jego ciała w zamrażarce.

52-letni dziś reżyser, bardzo dbający o skrupulatnie konstruowany *image* nowojorskiego intelektualisty w okularach z rogowymi oprawkami (w stylu Allena), niechętnie opowiada dziennikarzom o życiu prywatnym. Nie dowiemy się więc, skąd wzięło początek uniwersum Solondza. Jest to zresztą bez znaczenia. Dużo ważniejsze jest to, czego początkiem stały się jego filmy w aż dusznym od tabu amerykańskim kinie. Owszem, w Stanach nie brakowało nigdy wyciskaczy też o pedofilach, pro-

blemach pozostawionych samym sobie dzieci, hipokryzji bogatych materialnie, ale pustych mentalnie mieszkańców przedmieść.

Solondz zdobył się jednak na coś dużo bardziej obrazoburczego niż oddanie bohaterom z marginesu miejsca na planie – ubrał ich historie życiowe w formę czarnej komedii. Jego filmy wywołują w widzu zmieszanie, rozbawienie i obrzydzenie, każą mu konfrontować się z własnymi poglądami na temat wypieranych z powszechnej świadomości problemów. Gdy w „Happiness” kilkunastoletni chłopiec, przez cały film instruuowany przez ojca-pedofila, jak się masturbować, z dumą oświadcza w finale, że „doszedł”, naprawdę nie wiadomo, czy śmiać się, czy płakać...

Jaka będzie wasza reakcja, możecie się przekonać na 2. AFF, gdzie w ramach retrospektywy Solondza pokazanych zostanie sześć fabuł reżysera, począwszy od „Happiness”, skończywszy na wyświetlanym dotąd tylko w Wenecji i Toronto „Czarnym koniu” – najnowszym dziele najstywniejszego obrazoburcy i prześmiewcy amerykańskiego kina niezależnego.

Nie muszę już nadstawiać łba po nocach



ROZMAWIA
MARCIN SENDECKI

O międzyzdrojskich wścibskich babach, nieszerokim czytelniku i widmie pisarskiego Smoleńska – mówi **MICHAŁ WITKOWSKI**, który wydał właśnie świetną powieść „Drwal”

– Zaraz, czy to nie ty byłeś, całe lata temu, w jury tego konkursu na opowiadanie, w którym dostałem pierwszą nagrodę za „Pogranicznice”?

Tak było.

– Z [Bohdanem] Zadurą i [Karolem] Maliszewskim...

Ma się rozumieć. W Dzierżoniowie, to był rok...

– 1995? 1996?

Jakoś tak.

– To wy jesteście moi odkrywcy...

(Tu następuje wymiana serdecznych uśmiechów i zaczyna się wywiad właściwy).

Skoro już zaczęliśmy od prehistorii, to jeśli porównasz swoje dawne wyobrażenia o tym, jak to jest „być pisarzem”, z twoją dzisiejszą wiedzą i doświadczeniem, to jest gorzej czy lepiej, niż ci się zdawało?

– Lepiej! Lepiej! Pomijając kwestię, że się czasem ma gdzieś stały felieton (czyli regularny dochód), czasem nie ma – w Polsce to jest dość podstawowa rzecz, jeśli chodzi o utrzymywanie się z pisania – to jest cudownie, żyć nie umierać. Praca na jakimkolwiek etacie to są jednak straszne nerwy. A tak śpisz, do której chcesz, z przyjaciółmi gadasz do woli, spacerujesz, absolutny luz, omija cię połowa chorób cywilizacyjnych. Pracować w jakimś przeszklonym banku, nawet za 20 tysięcy miesięcznie, to jest wybitnie niezdrowe.

Ille musisz sprzedać egzemplarzy, żeby sobie na taki luz pozwolić?

– Ja się dobrze sprzedaję, wiadomo. Ale chodzi głównie o to, jak wygląda twoja osobista konsumpcja: czy kupujesz luksusowe produkty, czy łazisz po galeriach sklepów, czy wydajesz

tylko na życie. Ja jestem w stanie wydać naprawdę każdą sumę w jeden wieczór, więc trzeba się niestety nauczyć, że jak się dostaje, powiedzmy, 100 tysięcy złotych, to trzeba to podzielić na 24 miesiące, do następnej książki, a nie iść na wielkie zakupy. Parę razy się dostaje po łapach, ale gra jest warta świeczki. **Nie wątpię. No to ile musisz sprzedać tych książek?**

– Daję radę. Ale oczywiście pewnych nakładów nigdy nie przekroczę – nigdy nie będę w stanie napisać książki zrozumiałej dla bardzo szerokiego odbiorcy. Cały dowcip polega na tym, jak „nieszereki” będzie to odbiorca: 50 tysięcy osób, 100 tysięcy osób czy 30. Na 150 prawdopodobnie nigdy nie uda mi się wskoczyć. Nie będę celowo spłaszcać czegoś, co mi ładnie wychodzi i brzmi, tylko po to, żeby zostać Grocholą albo „Klanem”. Nigdy zresztą nie pisałem czegoś, do czego nie byłbym przekonany.

To opowiedz teraz, w prostych żołnierskich słowach, o czym jest twoja nowa książka?

– Na poziomie akcji czy na poziomie problematyki?

Jedźmy po kolei.

– Co do akcji, to notka na okładce nie kłamie: czasy współczesne, 36-letni pisarz przyjeżdża nad morze, do Międzyzdrojów, w gościnę do faceta, o którym niewiele wie. Gospodarza otacza jakiś nimb tajemnicy, zaintrygowany bohater, który chce napisać kryminał, postanawia tę tajemnicę zgłębić i wszczyna własne śledztwo, natrafiając na różne intrygi, tajemnice z przeszłości – i tak dalej. A na poziomie problematyki można mówić o tysiącach rzeczy,

”

Międzyzdrojskie baby znam jak zły szeląg, grzebały mi w rzeczach, kiedy wychodziłem, wścibskie, wstrętne, zle i okropne

MICHAŁ WITKOWSKI

Na przykład o krytyce klasy średniej pod postacią Doktorowej, o transferach kapitałowych po upadku komunizmu, o obyczajowych przemianach na Wybrzeżu, o tym, jak Niemcy zostają tam zastąpieni przez Szwedów w roli najważniejszych cudzoziemców, o Polakach, którzy do tej Szwecji jeżdżą pracować na budowach... Trudno powiedzieć, żeby był jakiś główny wątek poza tym autotematycznym – pisarza, który chce napisać książkę i traktuje własne życie jako materiał, i który wszystkich dookoła też traktuje instrumentalnie.

W Międzyzdrojach to ci pewnie pomnik postawią?

– No, nie zamierzam być tam zapraszany do remizy jako piewca wyspy Wolin (*śmiech*). Międzyzdroje są naprawdę okropne, lubię tylko pustkowia tamtejsze nadmorskie, przyrodę wokół. Natomiast międzyzdrojskie baby,

u których pokoje wynajmowałem, znam jak zły szeląg. Wielokrotnie mi grzebały w rzeczach, kiedy wychodziłem, wścibskie, wstrętne, zle i okropne... I te wszystkie pseudogwiazdy różne, które prowadzą gofry i są wszystkie w paradygmacie „uboga, ale Doda” z plamą na białym golfie. Ten ohydny styl międzyzdrojskiego blichtru, ubogo, ale *glamour*, kryształowe zyrandole.

To chyba nie jest sznyt wyłącznie międzyzdrojski?

– Tam to jest najwyraźniejsze, bo promenada gwiazd, festiwale gwiazd, gwiazdy, gwiazdy, paparazzi. W każdej, najgorszej nawet pizzarii wiszą serca podpisane „Kasia Figura”, wiesz, „Tu jadłam gofra i kocham was” i tak dalej.

Twój bohater nazywa się Michał Witkowski.

Jak się ma książkowy Michał Witkowski do ciebie realnego?

– Tę personę w gruncie rzeczy stworzyłem dopiero tutaj, w „Drwalu”. Owszem, w „Lubiewie” przewijała się w tle postać Michałki Literatki, ale niewiele było o niej wiadomo poza tym, że pisze jakąś tam książkę. W „Barbarze...” i w „Margot” uprawiałem „lirykę maski”, chowałem się pod postaciami Barbary Radziwiłłówny czy Waldka Mandarynki, co było dosyć męczące, bo trzeba było udawać kogoś, o kim się w istocie niewiele wie; próbować sobie wyobrazić, co myśli prosty facet, który nie ma żadnych studiów, i ciągle pilnować, żeby nie popełniał jakichś aluzji literackich, o których nie może mieć pojęcia. A przecież ja naprawdę nie wiem, co w innych ludziach siedzi. Znacznie łatwiej mówić o sobie i swoim postrzeganiu świata, i to jest na pewno uczciwsze i prawdziwsze podejście. Przy czym nie jest to oczywiście wierny portret i może to jest takie →



ILUSTRACJA: Bartosz Kosowski na podstawie zdjęcia Donata Brykczynskiego/Reporter, rys. Barbara Sadowska na podstawie zdjęcia Marka Szczypanińskiego



Michał Witkowski

36 lat, prozaik. Zadebiutował tomem opowiadań „Copyright” (2001), ale prawdziwy rozgłos przyniosła mu powieść „Lubiewo” (2005), przetłumaczona do dziś na 20 języków, a w Polsce wyróżniona Nagrodą Literacką Gdynia. Wydał także zbiór opowiadań „Fototapeta” (2006) i powieści „Barbara Radziwiłłówna z Jaworzna-Szczakowej” (2007) oraz „Margot” (2009). Najnowsza powieść, „Drwal”, ukazała się nakładem Świata Książki.

→ pociągające – bo, jak w jakimś „Big Brotherze”, pokazują się wam, jak myję zęby w starych gaciach, a jednak mam pełną kontrolę i możliwość dowolnej kreacji. Ja tu zresztą pokazuję siebie, jakim jestem, kiedy piszę książkę, a nie kiedy ją promuję i jestem sztuczną, wypindrzoną postacią z sesji dla kolorowych pisemek. To jest Witkowski w okresie popromocyjnym, którym pies z kulawą nogą się nie interesuje i który gdzieś nad morzem, w wyciszeniu, pisze sobie odziany w stary sweter. To są dwa nieprzystające do siebie wizerunki.

Zdawało mi się, że uwielbiasz huraganową promocję. Kiedy miała ukazać się „Margot”, twoja poprzednia powieść, nie można było lodówki otworzyć, żeby cię nie zobaczył; nawet na YouTube były filmiki z tobą w głównej roli, a recenzentom na zachętę rozsyłano różowe damskie torebki...

– Tym razem stanowczo zabroniłem takich rzeczy...

A wtedy?

– Wydawca zatrudnił firmę reklamową, która wszystko to wymyślała i robiła.

Zapowiedź, że weźmiesz ślub z Tomaszem Jacykowem, też ci firma wymyśliła?

– To był, niestety, mój pomysł. Tak to jest, że jak się chodzi po tokszołach, to się nie jest naprawdę sobą. Człowiek ma kompleksy, chce powiedzieć coś takiego, żeby to zabrzmiało, żeby ludzie to podchwycili, a nie siedzieć w studiu jak uboga ciotka, której nikt nie zna. No i kiedy panuje taki medialny szal, to człowiek w końcu zawsze coś głupiego wymyśli. Mam nadzieję, że tym razem uda mi się powstrzymać. Tym bardziej że zakazałem hucznej kampanii. Już nie potrzebuję zaspokajając swojej próżności, ona została wielokrotnie zaspokojona.

Zmiana paradygmatu?

– Bardzo się zmieniłem przez te dwa i pół roku. Na przykład w czasach „Margot” strasznie chciałem śpiewać, założyć zespół – i mnóstwo czasu i pieniędzy poszło na to, żeby mi udowodnić, że nie umiem tego robić i to niemożliwe nawet przy największych nakładach i technikach komputerowych. W końcu postanowiłem, że usunę się w cień swoich książek i na ich jakości będę się skupiał, a nie na sobie. Chcę być specjalistą od produkcji książki, który zna swoje rzemiosło, a nie pięknie ubraną gwiazdą (*śmiech*). Teraz stawiam na czytelnika, na jego uciechę z lektury.

Skąd pomysł, żeby napisać kryminał, czy może raczej coś w rodzaju kryminału, bo „Drwal” to

jednak chytra gra z tym gatunkiem – co jest jego, „Drwala”, wielką zaletą skądinąd.

– Tak zwana literatura gatunkowa, czyli także kryminał, jest z paru względów trudniejsza niż tradycyjnie rozumiana „proza wysoka”, na przykład typu „autor chodzi i ma przemyślenia”. Trzeba zbudować fabułę, trzeba umieć zaskakiwać, jakiś warsztat trzeba posiadać. Dla mnie to było wyzwanie, bo taka konwencja silniej przyciąga uwagę czytelnika, ale jest bardzo trudna i wymaga nauczenia się czegoś samemu, trzeba z ołówkiem w ręku wyczytać z innych książek, jak to działa. Przecież nie pójdę do Marka Krajewskiego i nie powiem: „Cześć, powiedz mi, jak się pisze kryminał”, bobym się spalił ze wstydu.

No i widać, że ta nauka własna nie poszła w las, bo książka jest, by tak rzec, pozapinana na ostatni guzik, ma świetne sztuczki narracyjne i kapitalne zwroty akcji – łącznie z finalnym,

” *W „Drwalu” występuje Witkowski w okresie popromocyjnym, którym już nawet pies z kulawą nogą się nie interesuje*

MICHAŁ WITKOWSKI

choć typowego dla kryminału zamknięcia fabuły świadomie się wyrzekłeś.

– Mogłem sobie pozwolić na niezakończenie wątków, bo ich końca można się łatwo domyślić. Kończenie jest zresztą o wiele łatwiejsze niż rozpoczynanie i plątanie, więc nikt mi nie powie, że nie umiałem ich dobrze poprowadzić. **Ja nie powiem na pewno. Ale – żeby trochę splątać wątek – chciałbym spytać o obficie pojawiającą się w książce chemię medyczną. Sam testowałeś te straszliwe leki czy musiałeś przeprowadzać konsultacje?**

– To mój osobisty problem z lekami. Dalej go mam, chociaż od ponad dwóch lat trzymam się od tych medykamentów z daleka. A wcześniej brałem je latami, byłem po prostu uzależniony od benzodiazepin. To było straszne, taki sam koszmar jak z narkotykami. Dzięki różnym terapiom się z tego wyciągnąłem. W książce jest opisana tylko pierwsza faza nałogu, najpiękniejsza – ale, powtarzam, to jest rzecz straszna i uchowaj Boże, żeby ktoś się w to wciągał.

W „Drwalu” jest ładny twój zabieg – otóż bohater chce napisać książkę i węszy wokół

za materiałem, a kiedy go nie znajduje, kiedy wokół jest normalnie, to sam prowokuje wypadki, nawet ryzykując głową, żeby coś ciekawego zaczęło się dziać. Też tak działasz?

– Tak to jest. On sam mówi, że musi być nie-normalnie. Bo gdyby było normalnie, toby go tu w ogóle nie było, nic by nie odkrył, tylko siedział w hotelu i spał. Trzeba się włóczyć po nocach, żeby było nienormalnie, bo inaczej nie będzie literatury.

A co do mnie, to kiedyś się włóczyło po nocach i nie było z tego literatury, a teraz się śpi grzecznie w hotelu i jest z tego literatura. Kiedyś trzeba było nadstawiać łba i nic z tego nie wychodziło, a teraz żyje się życiem podtatusiałego dziadka i się pisze, może to właśnie jest fajne w starzeniu się, że swoje się już przeżyło i nie trzeba nadstawiać własnego łba po nocach.

Zarzekasz się od jakiegoś czasu, że krytyka cię już wcale nie obchodzi, ale fragment, w którym bohater planuje napisanie i nawet pisze konspekt powieści pod tytułem „Skrzypce”, która mogłaby mu przynieść sławę i lukratywne nagrody, to jest wyraźne nabijanie się z tych nagród i krytyki w ogólności. A owe „Skrzypce” to jest dzieło z dość obrzydliwego gatunku, który nazwać można „kiczem holokaustowym”.

– Na różnych zagranicznych stypendiach pisarskich zauważyłem, że zawsze jest mnóstwo młodych Niemców, którzy siedzą i grzecznie piszą takie wypracowania o wojnie w Bośni albo o Zagładzie i produkują „Lektory” i tym podobne dzieła. Ludzie z roczników ’80 czy nawet ’90 z pełną powagą produkują coś kompletnie niezwiązanego z ich doświadczeniem, bo wiedzą, że na to są pieniądze, granty, za to są nagrody, cała infrastruktura. I ja oczywiście mógłbym takie „Skrzypce” w dwa tygodnie machnąć, ale musiałbym się kompletnie zdemoralizować.

A jak się czujesz w polskim światku literackim? Zazdrościsz, na przykład, koleżeństwu, które dostało nagrodę Nike, której tobie nigdy nie dali?

– Nie jest moim marzeniem, żeby wszyscy polscy pisarze polecili do Nowego Jorku i się rozbili po drodze, i zostałbym sam, i dostawał wszystkie nagrody i dotacje. Pisarski Smoleńsk wcale mi się nie marzy. Wolałbym, żeby Małowska wreszcie wydała nową powieść i było z czego zgapiać albo żeby się ktoś całkiem nowy objawił. Bo jednak proza bierze się także z zazdrości i kiedy widzę świetną powieść, to sobie myślę, że coś jeszcze można w literaturze zrobić i też chcę spróbować. Ale od dawna jakoś nic mnie nie rozpala, więc jak tak dalej pójdzie, to wszystko zdechnie i tyle. •

Z KRAJU

Dwie kluczowe autostrady nie będą gotowe na Euro

ZE ŚWIATA

Politycy szukają trzeciej drogi

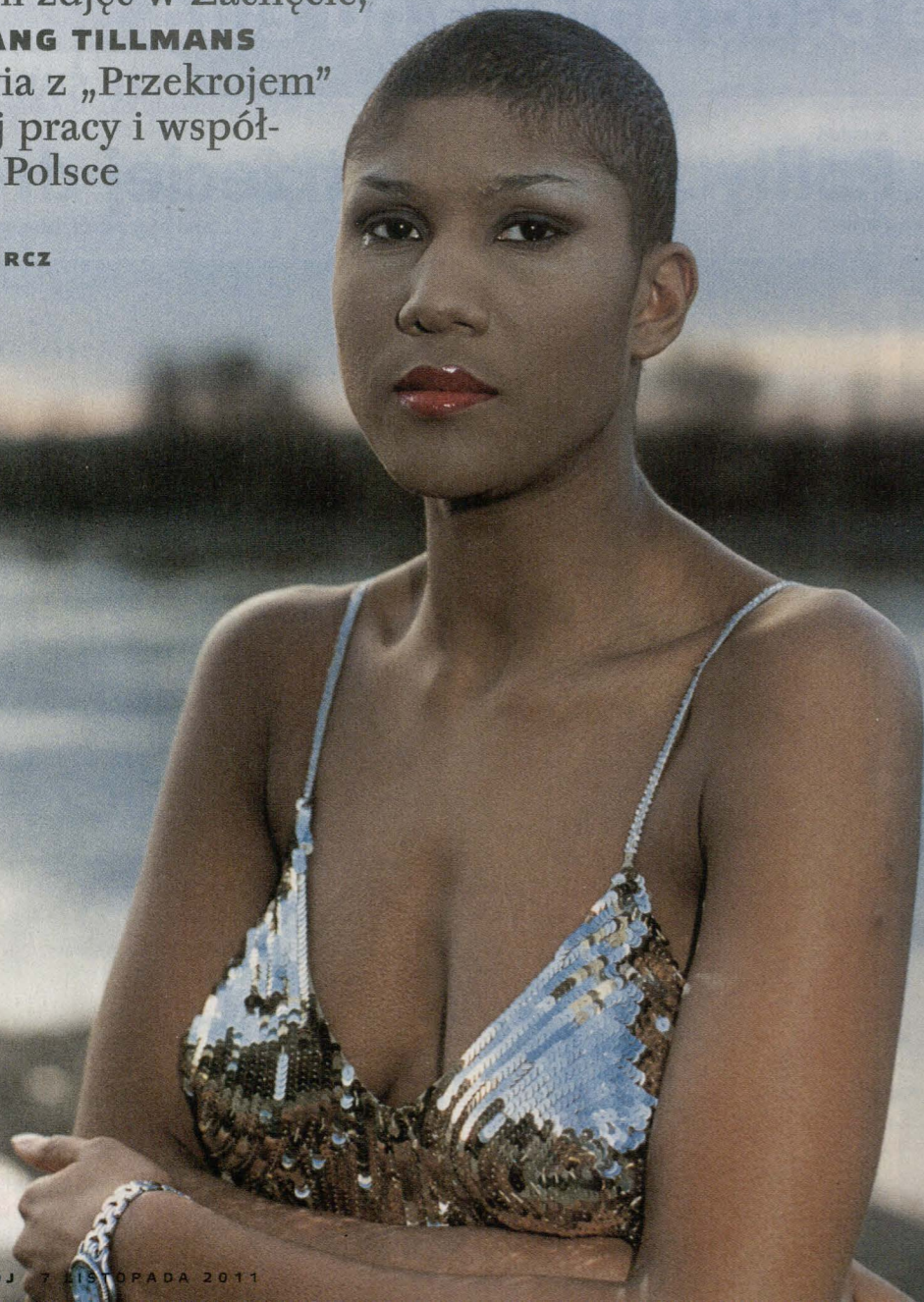
CIEKAWSZA STRONA INFORMACJI

wiadomosci.wp.pl

Zmienne tempo patrzenia

Pomiędzy lotniskami, na kilka dni przed pokazem zdjęć w Zachęcie, **WOLFGANG TILLMANS** rozmawia z „Przekrojem” o swojej pracy i współczesnej Polsce

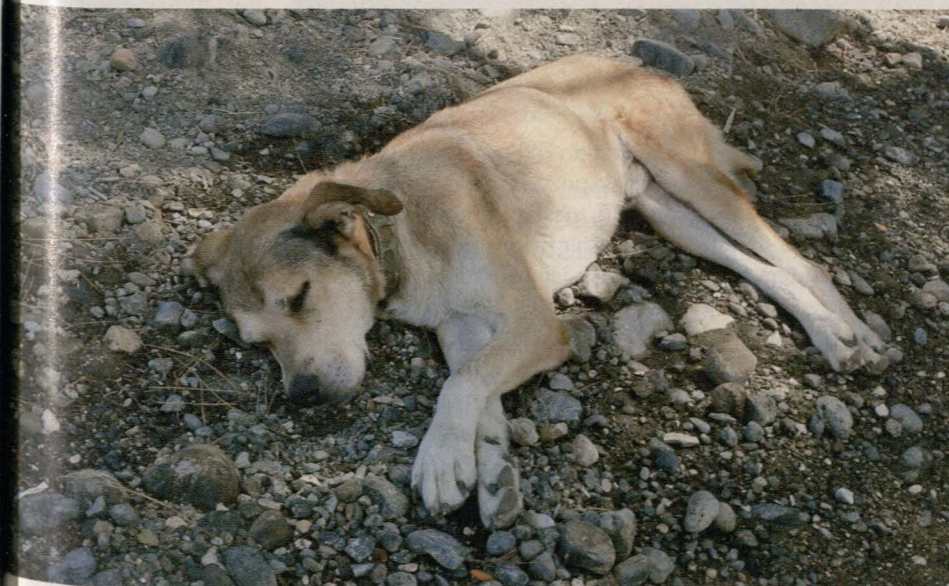
JAKUB ŚWIRCZ



Zwykłe zdjęcie z imprezy? A może symbol epoki cyfrowej, nieostre, przypadkowe, pozbawione kompozycji. „The Cock (kiss)”, 2002

Każda sytuacja zawiera w sobie możliwość, by zrobić interesujące zdjęcie – oto credo niemieckiego fotografa. Pies „Cuma”, 2011

Tillmans potrafił pokazać nostalgiczną twarz epoki clubbingu. Didżejka Smokin’ Jo o świecie po imprezie, 1995



Przez ostatnie sześć lat byłem ciągle w rozjazdach. Przemieszczałem się pomiędzy Berlinem a Londynem, wykladałem we Frankfurcie i cały czas zastanawiałem się, jak to możliwe, że nie trafiłem jeszcze do Polski. Właściwie to wręcz śmieszne. Pociąg z Berlina do Warszawy jedzie tylko pięć godzin – mówi Tillmans. Może odpowiedź tkwi w poglądach samego artysty, który deklaruje się jako aktywista walczący o prawa gejów, a Polskę wielokrotnie wymieniał wśród krajów nacjonalistycznych i pełnych homofobii.

Przyjechał tu w kwietniu, w rocznicę katastrofy smoleńskiej. Mieszkając w hotelu Bristol, z bliska przyglądał się ludziom koczującym pod Pałacem Prezydenckim. – Kiedy słyszysz wszystkie te rzeczy o nacjonalizmie, wpływie Kościoła, nietolerancji, masz naprawdę straszny obraz przed oczami. Na miejscu okazało się, że jest zupełnie inaczej, a sama Warszawa przypomina Berlin – opowiada.

Na pytanie, czy zamierza zamieścić na wystawie jakieś fotografie ze swojego pobytu w Polsce, odpowiada: – Kilka na pewno, ale przede wszystkim kiedy myślę o Warszawie, widzę przed oczami zdjęcie Willy’ego Brandta kłęczącego przed pomnikiem Bohaterów Getta, które prawie zawsze doprowadza mnie do łez. Na pewno będę chciał odwołać się do tego obrazu – mówi.

To zadziwiające wyznanie w ustach twórcy, który swoją wielką karierę zawdzięcza pochwalę prywatności i codzienności, fotografującego z równym zaangażowaniem Jarvisa Cocker’a, niedojedzony posiłek, rzucone na kaloryfer ubrania czy znajomych śpiących na plaży po imprezie. – Od zawsze interesowały mnie małe

obserwacje, ten niezwykły moment, kiedy coś z błażej rzeczy staje się nagle ważne. Kiedy chodziłem do klubów tanecznych, zawsze moją uwagę przyciągały światła, stroboskopy, to one zmieniały rzeczywistość. Właściwie większość czasu w klubach spędzałem z zadartą głową, patrząc na sufit – wspomina Tillmans, który zaczął od portretowania epoki techno.

Zabawa w dziurce

Jest rok 1988. W Ameryce ukazują się płyty „Techno! The New Dance Sound of Detroit”, która daje milionom młodych ludzi na całym świecie sygnał do buntu. Dość słodkiego popu Madonny i Prince’a, ogłupiających wideoklipów w mtv i kapitalizmu wielkich korporacji. Tyle że wtedy nikt nie wychodził na ulice, protest wyrażał się w ekstatycznym tańcu w rytm zabójczego tempa 140 uderzeń perkusji na minutę, nowa klubowa kultura nie promowała żadnych gwiazd, za to schowanych za gramofonami didżejów, zamiast dyskotek półlegalne imprezy w opuszczonych fabrykach, nieczynnych magazynach przy autostradach... Jednym z wyznawców sceny jest Wolfgang Tillmans. Ma 20 lat i w kawiarni w Hamburgu organizuje swoją pierwszą fotograficzną wystawę, składającą się jednak nie ze zdjęć, lecz z kserokopii, czarno-białych, nieostrych obrazów, wielokrotnie powiększanych.

Prace doskonale współgrają z nowym muzycznym rytmem i nastrojami przełomu dekad. Fotograf wchodzi też ze swoim aparatem w roztańczone, barwne tłumy. – To, co działo się na tych imprezach, wydawało się światem nowej ery. W międzyczasie upadł mur, skończyły się lata 80., wydawało się, że nastąpi dekada wyzwolenia seksualnego i politycznego, epoka tańczącego wolnego ducha – wspomina.

Jego zdjęcia pełne naturalnej nagości, łączące czułość dla bohaterów i zapis ich hedonistycznych zabaw, portretujące między innymi młodych gejów trafiają na łamy londyńskiego magazynu „i-D”, pisma, które kształtuje wizerunek dekady. Do historii przeszły fotografie z pierwszej berlińskiej Parady Miłości oraz seria portretów Lutz’a i Alex’a, bliskich przyjaciół Wolfganga Tillmansa. Wśród nich to szczególne, siedzących półnago w plastikowych, błyszczących płaszczach wysoko na drzewie. To połączenie stylizacji i naturalności stanie się jedną z cech charakterystycznych prac Tillmansa.

W 2000 roku jako pierwszy fotograf w historii dostaje Nagrodę Turnera, jedno z największych wyróżnień dla współczesnych artystów. Nie obywa się bez protestów. Stuckiści, międzynarodowa grupa artystyczna →



Przyjaciele fotografa: Lutz, Alex, Susanne i Christoph na plaży po całonocnej balandze. Rok 1993, clubbing kojarzy się jeszcze z kontrkulturą

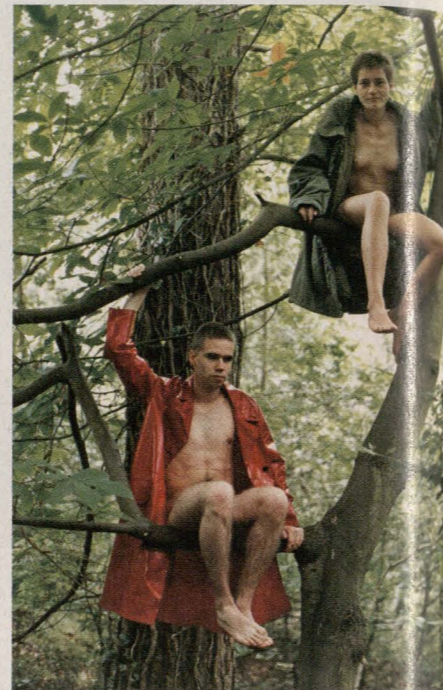
FOT. WOLFGANG TILLMANS/DZIĘKI UPRIĘŻYMOŚCI GALERIE BUCHHOLZ, COLOGNE/BERLIN (8)

→ promująca malarstwo figuratywne, zarzuca Tillmansowi komercję, a jury odejście od tradycji doceniania Brytyjczyków zajmujących się malarstwem i rysunkiem. Na znak protestu na wręczenie nagrody w Tate Gallery przychodzą przebrani za klaunów. Wystawa laureata również budzi kontrowersje. Publicyści doszukują się działań cenzury, gdy jedna z prac o dwuznacznym tytule: „Do you wanna play in my hole?” („Czy chciałbyś pobawić się w mojej dziurce?”) zostaje dyskretnie przysłonięta inną. Tillmans, zapytany o swoje przygody z cenzurą, opowiada jednak: – Właściwie zdarzyło się to chyba tylko raz. W Museum of Modern Art w Nowym Jorku kurator przed

wystawą kazał pokazać sobie wszystkie zdjęcia, które chciałem zamieścić na ekspozycji. Akty kobiet przeszły bez problemu, męskie zostały odrzucone. Szokowanie nigdy nie było moim celem. Interesuje mnie nagość, jej naturalność. Seksualność jest częścią codziennego życia, chcąc być szczerym, włączam ją w swoją pracę – opowiada.

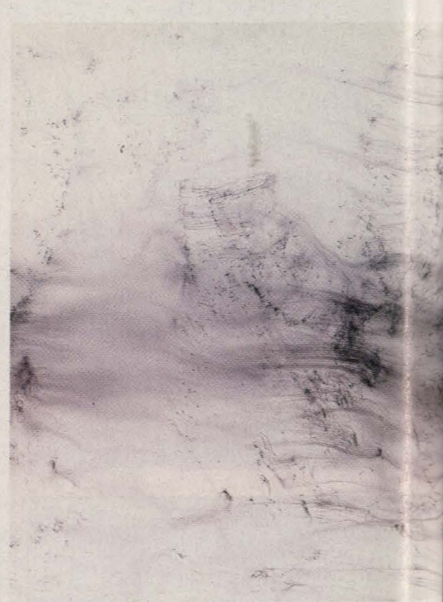
Lady Gaga bez maski

Wolfgang Tillmans wywraca do góry dnem wyobrażenia kuratorów i widzów o tym, jak powinna wyglądać wystawa fotografii. Korzysta z klasycznych odbitek, ale też z pocztówek, fotokopii, zdjęć wydartych z pism. W efekcie



Tillmans zrobił to zdjęcie do sesji mody. Stało się manifestem całego pokolenia. Lutz i Alex – odmieńcy w stanie czystym, 1992

– W abstrakcji znajdują odpowiedź na zalew fotografii w cyfrowym świecie – mówi Tillmans



jego ekspozycje przypominają rozkładówki awangardowych magazynów, zresztą po przeprowadce do Londynu pracuje dla „i-D” jako projektant. Wystawia w Paryżu, Tokio, Turynie, Los Angeles. W czasie pobytu w Nowym Jorku w 1994 roku poznaje malarza Jochena Kleina, z którym wraca do Londynu. Kiedy po trzech latach wspólnego życia Klein umiera na AIDS, w sztuce Tillmansa następuje wyraźna zmiana. Coraz częściej pojawiają się filmy wideo, martwe natury i abstrakcje, w nich znajduje odpowiedź na zalew fotografii w cyfrowym świecie: – To zdjęcia, które nie odnoszą się do świata, to moja reakcja na totalną nadprodukcję obrazów.



Tillmans, fotograf szukający naturalności, szczerości, ostatnio spotkał się na łamach „i-D” z ikoną dzisiejszego popu – Lady Gą. – Ludzie są teraz bombardowani kłamstwami i iluzją, oczywiście sami również ją sobie opowiadają. Interesują mnie sytuacje, gdy taką iluzję wykorzystuje się, by pokazać coś istotnego. Pamiętam, jak w młodości byłem zafascynowany tym, co zrobił Boy George, jak wprowadzał do przestrzeni publicznej problematykę gender. Lady Gaga żonglująca różnymi kliszami wydaje się kontynuatką takiego uprawiania popkultury. Ma pewien przekaz, który trafia do ludzi, podczas kiedy większość dzisiejszych gwiazd jest pusta jak balon – mówi Tillmans.

W efekcie tego spotkania powstały zdjęcia, które portretują gwiazdę swobodnie, bez twarzy zasłanianej kolejnymi maskami, a wszystko to znalazło się w numerze opatrzonym tytułem „Hedoniści”. Takiej właśnie szczerości, zmuszenia do obserwacji i zaproszenia do celebracji życia w jego wszystkich wymiarach możemy oczekiwać na otwierającej się wystawie „Zachęta Ermutigung”, dzisiaj już nie rewolucjonisty, a klasyka – Wolfganga Tillmansa.

Wolfgang Tillmans „Zachęta Ermutigung”, 19.11.2011–29.01.2012, Zachęta Narodowa Galeria Sztuki, Warszawa



Impezy techno często odbywały się pod miastem w opuszczonych magazynach. Klub Planet, 1992

– W kulturze techno interesowało mnie przede wszystkim tak irracjonalne zachowanie jak samo tańczenie w grupie – wspomina dzisiaj Tillmans. „Tancerz”, 1989

REKLAMA

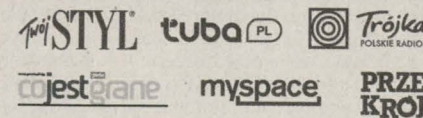


prezentuje
SNOWMAN
THE BEST IS YET TO COME



NIEPRZEWIDYWALNI
NIEJEDNOZNACZNI
NIEPOWTARZALNI

Premiera płyty 7 listopada!



www.snowman.pl
www.kayax.net

MUZYKA

Polacy niepodlegli...



Wokalistka Asja z kwartetem Neurasja odkrywa urok słowiańszczyzny

Jeśli eklektyzm ma być dominującym gatunkiem XXI wieku, to Polska ma już godnego reprezentanta. Wokalistka Asja i gitarzysta Karol Czajkowski, którzy stanowią trzon stołecznego kwartetu Neurasja, swoje horyzonty muzyczne poszerzają od lat w etnojazzowej grupie Almut. Na „Neurasji” z niespotykaną gracją zestawiają polszczyznę (język i słowiańszczyznę (melodie) wokalu z muzyką świata: rockiem („Ide”, bluesem („Korale”) czy reggae („Jestem Zelig”), choć Asja najpiękniej brzmi a capella (otwierające „Małymi krokami”). Nieskazitelne brzmienie płyty i mądre aranżacje to osobne atuty tego dojrzalego debiutu.

Ze stylistycznej karuzeli bezpiecznie sprowadzi nas Coldair, poboczny projekt Tomasza Bilińskiego z grupy Kyst, czyli anglosaskie pieśniarstwo w mało polskim wydaniu. Biliński utrzymuje, że wciąż czuje się „jak dziecko w piaskownicy songwritingu”. Drugie w jego solowym dorobku „Far South” od ubiegłorocznej „Persephone” dzieli jednak jakościową przepaść. Klamrą dwóch dłuższych kompozycji Biliński zamknął pół tuzina zwartych piosenek. Wszechobecnym gitarom towarzyszą tylko wokali i pogłos, a okazynie trąbka i perkusja, którą Biliński osobiście obsługiwał. Dla niego to podobno psychoanalityczna rozprawa z burzliwym rokiem. Dla nas – zastufane pół godziny jednoznaczności.

Coldair „Far South”, Antena Krzyku

DagaDana „Dlaczego Nie”, Agora

Jacaszek „Glimmer”, Gusstaff

Michał Zygmunt „Muzyki”, Port Bankok

Neurasja „Neurasja”, Unzipped Fly

Sinusoidal „Out of the Wall”, Luna

MARIUSZ HERMA
Praca z samplerem przypomina mi malowanie obrazów: spekulacje barwne, szlifowanie kształtów, mozolne budowanie kompozycji poprzez niekończące się dodawanie, eliminowanie i «przesuwanie» pojawiających się form – mówi mi Michał Jacaszek kilka miesięcy temu, zapowiadając niejako swoją najbardziej malowniczą płytę. Prapremierę „Glimmer” w krakowskiej synagodze Tempel (na finał festiwalu Unsound) zestawiono z dziełami Henryka Mikołaja Góreckiego i Arvo Pärta. Ryzykowne? Piekalnie, lecz dzięki temu gdański producent pokazał, że bliżej mu do kameralistyki niż elektroniki. Na „Glimmer” Jacaszekowych spekulacji ambientowych dopełniają partie klarnetu basowego, klawesynu oraz metalofonu, czyli indonezyjskiego pierwowzoru wibrafonu.

Pogranicza stylów zagospodarowuje także Michał Zygmunt,

mimo że jest człowiekiem jednego instrumentu – gitary akustycznej. Na jego trzeciej płycie „Muzyki” istotnie mamy do czynienia z muzyką w liczbie mnogiej. Folklor polski wrocławianin łączy z flamenco, amerykańskim bluesem, country i łagodnym jazzem. W „Wesolaka” wplótł reggae. Dyskretnie asystuje mu szwajcarski perkusista Roli Mossimann, odpowiadający także za miks oraz drobne manipulacje studyjne (niespodziewany futurizm w „Na Kujawach pięknie grają”). Tematy autorskie Zygmunt przeplata ludowymi, a staropolskiego nastroju dopełniają akordeonowe przerywniki Zdzisława Jamborskiego i czarno-białe fotografie, w które Zygmunt swoje „Muzyki” opakował.

Z tradycji ukraińskiej z kolei niezmiennie czerpie lwowsko-poznańsko-krakowskie trio DagaDana. Tu też słychać odwołania do wszytkiego, co mieści się pomiędzy poezją śpiewaną, wokalistyką jazzową oraz klasyką i znajduje w zasięgu pianina elektrycznego, kontrabasowa, lapto-

pa, głosów żeńskich i sporadycznie męskiego. Druga w dorobku DagaDany płyta „Dlaczego nie” uciechy tych, dla których surowa słowiańszczyzna jest zbyt... surowa. Zaparta programowanym bitem, klawiszami i egzotycznymi dygresjami, ociera się wprawdzie miejscami o kicz, ale zyskuje na przystępności i przebojowości. Pomysł na siebie szuka dopiero wrocławski duet Sinusoidal. Za aranżę – elektroniczną, zapatrzoną w klasyczny trip-hop i down tempo – odpowiada didżej i producent Michał Siwak. Za wokale – zazwyczaj błądzą rozkosznie w wysokich rejestrach – Adrianna Strycz znana z programu „X Factor”. Na debiutancim „Out of the Wall” więcej z muzyki czerpią, niż do niej wnoszą, ale płyta powinna przypaść do gustu fanom Lamb, Anji Garbarek lub czeskiego Ecstasy of Saint Theresa. A otwierającemu „Hope” czy chwytliwemu „Free” wieszczą karierę na playlistach klubowych chillout roomów.

RECENZJE FILM

Do utraty tchu

„Chłopiec na rowerze”, a daleko za nim peleton

KAROLINA PASTERNAK

Debiutujący Thomas Doret gra w nowym filmie braci Dardenne chłopca z sierocińca. Nie jest śliczny jak młody Johnny Depp, gdy zaczynał w „Kosmarze z ulicy Wiązów”. Nie dostał na starcie kariery, jak Leonardo DiCaprio („Co gryzie Gilberta Grape’a”), którą mógłby doprowadzić miliony do łez. A jednak w jego Cyriku jest coś tak obezwładniającego, że w Cannes do końca wierzyliśmy, że zdobędzie statuetkę za główną rolę „męską”. Skoro jako jedyny próbuje w „Chłopcu...” zachowywać się jak mężczyzna, nawet jego wiek (14 lat) nie stanowił dla nikogo problemu. Przegrał, ale zarówno sposób, w jaki prowadzą tu jego postać bracia Dardenne, jak i cały film, to dowód

na niesłabnącą formę twórców „Milczenia Lorny”. Dardenne’owie to mistrzowie ubierania zwykłych historii o szarych ludziach w formę wciągającego dramatu psychologicznego. Bohaterowie ich filmów to ludzie niby nieatrakcyjni (grają ich często naturšczycy), a mimo to magnetyzujący, tak wnikliwe portrety malują im reżyserzy. „Malują” to dobre słowo. W „Chłopcu...” Cyril będzie zawsze nosił czerwoną koszulkę, co jest ukłonem w stronę „Czerwonego Kapturka”, bo z tej baśni czerpią tu inspirację. Chłopiec gubi się nie w lesie, lecz w dżungli przemysłowego belgijskiego miasta. Ojciec, który postać bracia Dardenne, jak i cały film, to dowód

czas temu. Dardenne’owie z wirtuozerią budują opozycję między nim a dzieckiem. Ojciec kuli się pod ciężarem odpowiedzialności, syn działa do utraty tchu – wciąż widzimy go w biegu. Choć jest w gruncie rzeczy unieruchomiony przez swoją sytuację społeczną, tak że drepce w miejscu. Temat niedojrzałości rodziców przywoździ na myśl poprzednie filmy Belgów – „Rosette” i „Dziecko”. Zaś irracjonalny upór, z jakim Cyril chce odpłacić dobrem za zło, które spotyka go ze strony ojca – przypomina „Syna”, gdzie główny bohater starał się znaleźć rozgrzeszenie dla win bliźniego. Ale o ile w tamtym filmie na dojrzały gest próbował zdobyć się dorosły bohater, o tyle w „Chłopcu...” role się odwróciły. W relacji Cyrila z ojcem to nastolatek jest dorosłym, a dorosły – dzieckiem. „W dniu, w którym okazemy się niezdolni do bycia rodzicami, ludzkość będzie skończona” – powiedział kiedyś Dardenne’owie. Tym filmem jeszcze nie położyli na ludzkości kreski. Cyril spotyka Samanthę – matkę zastępczą. Jest nadzieja. Ale ile w tej historii baśni, a ile wiary w happy end, wiadzą tylko reżyserzy.

„Chłopiec na rowerze”, reż. Jean-Pierre Dardenne, Luc Dardenne, Belgia, Francja 2011, Carisma Film, 87’, premiera 11 listopada

Ksero-komedia

„Listy do M.” i „Wyjazd integracyjny”, czyli witajcie w lepszej Polsce

Nasładownictwo wychodzi nam lepiej niż twórczość własna – to wniosek po obejrzeniu filmów inspirowanych „To właśnie miłość” („Listy do M.”) i „Kac Vegas” („Wyjazd integracyjny”). Te zborne, sensowne i miejscami zabawne komedie mówią więcej o Polsce niż filmy z cyklu „Prawdziwe historie”. „Listy do M.”, gdzie w Wigilię krzyżują się drogi kilkunastu bohaterów, są jak lista życzeń aspirujących Polaków, chcących żyć między dobrą restauracją, mieszkaniem jak z pisma wnetrzarskiego a galerią handlową. Ale wszyscy marzą tu o wspólnym z rodziną nuceniu „Cichej nocy”. Film ma w sobie coś z przedświątecznej atmosfery: mnóstwo w nim kiczu, ale też

trochę szczerzej radości i wzruszenia. Sporo w „Listach do M.” kalkulacji – inspiracja brytyjskim hitem, gwiazdorska obsada (Stuhr, Karolak, Małaszyński), product placement – ale sporo też solidności, co w kinie komercyjnym rzadkie. W „Wyjeździe integracyjnym” wódka leje się strumieniami, a spuszczeni ze smyczy pracownicy firmy Polish Lody dokazują w teledyskowo-reklamowym rytmie. Przemysławowi Angermanowi udało się namalować zabawnie, ale bez jadu kraj-obraz korpo-Polski, gdzie praca dla dobra firmy jest nową formą patriotyzmu. „O taką Polskę żeśmy walczyli!” krzyczy bohater na widok swojego apartamentu w hotelu. Polskie kino nie walczy



Glinka i Frycz się integrują

może dokładnie o takie komedie jak filmy Mitji Okorna i Angermana, ale bliżej im do dobrej rozrywki niż zalewającym ekrany w ubiegłych sezonach romantycznym hitom.

„Listy do M.”, reż. Mitja Okorn, Polska 2011, 118’, 111 Cinema, premiera 10 listopada

„Wyjazd integracyjny”, reż. Przemysław Angerman, Polska 2011, 89’, Kino Świat, premiera 4 listopada

REKLAMA

Festiwal, który trwa cały rok, na okraglo... najlepsze zespoły spod znaku szeroko pojętej muzyki alternatywnej!



Jesień 2011:

Hurts

9 X, Poznań: MTP, Hala nr 2

The Subways

25 X, Warszawa: Stodola / 26 X, Wrocław: Alibi

The Horrors

15 XI, Warszawa: Proxima

Patrick Wolf

15 XI, Wrocław: Firlej / 16 XI Warszawa: Stodola

Kaiser Chiefs

23 XI, Warszawa: Stodola

The Wombats

28 XI, Warszawa: Stodola

Junior Boys

3 XII, Warszawa: Stodola

Metronomy

4 XII, Warszawa: Stodola

Współpraca:



Znajdź nas na Facebook

Do zdobycia biletów na każdą z naszych imprez! www.facebook.com/hortex



Helena Mikołajska, lata 50., właśnie przyjechała do Warszawy z Krakowa, by grać w Teatrze Polskim

Pęknięcia na pomniku

„Mikołajska. Teatr i PRL” to biografia jak wzorzec metra z Sèvres

JACEK WAKAR

Ponoć, z racji wcześniej posiadanych włosów, mówili na nią Biała. I taki wizerunek Haliny Mikołajskiej wbił się w pamięć tych, którzy widzieli ją na scenicznych deskach,

oraz tych, co łączyli ją z najważniejszą życiową rolą – oddanej sprawie działaczką KOR-u, nieskazitelnej ikony opozycji. Ten utrwalony obraz przynosi już okładka książki Joanny

Krakowskiej z Mikołajską w wersji kanonicznej. Więc siwe włosy, uważne spojrzenie. Klasa.

O Mikołajskiej łatwo by było napisać w hagiograficznym tonie. Oto wybitna, a może wręcz wielka aktorka, jedna z heroin powojennego polskiego teatru, chętnie porównywana z Ireną Eichlerówną i Zofią Mrozowską, poświęca zawodowy los na rzecz bycia po stronie przyzwoitości. Nie bierze pod uwagę kosztów, gotowa płacić cenę. Znika z głównego nurtu artystycznego życia, jakby kolejne sukcesy straciły jakiegokolwiek znaczenie. W Komitecie Obrony Robotników i na rzecz Solidarności zaczyna całkiem inne życie.

Tak to wygląda dla tych wszystkich, którzy uważają Mikołajską za emblemat opozycji z lat 70. I się nie mylą. Joanna Krakowska nie próbuje obracać w niwecz powszechnych sądów o swej bohaterce, nie wykazuje się zapaletem, by ją „odbrązowić” i na idealnym wizerunku na siłę szukać rys. Piszze w ostatnich zdaniach książki, że podczas pracy kierowała się przede wszystkim nieufnością wobec tych, którzy ją znali, wobec archiwów, dokumentów, cudzych wspomnień, nawet tego, co mówiła i pisała o sobie sama. Dla Krakowskiej liczą się konteksty – życia i twórczości artystki, a tych było bardzo wiele. Dzieciństwo i rodzinna tradycja, potem okupacja, start w zawodowe życie w tuż powojennym Krakowie, nauczyciele z Edmundef Wiercińskim na czele, znakomici koledzy (Tadeusz Łomnicki!), którzy zaczynali wraz z nią. A potem aktorska codzienność, często rozświetlana wspaniałymi rolami. Tyle że, jak wynika z książki, rzadko wszystkie te z pozoru idealnie dopa-

sowane do siebie elementy układały się w monolit. Rzadko albo i nigdy. Mikołajska nie pasowała do toczonych mniejszymi i większymi animozjami środowiska, nie najlepiej odnajdywała się w teatralnych zespołach, z czasem coraz mocniej zawiadzała jej odtwórcza rola aktora, skazanego na wcielanie w życie nie swoich idei. Dlatego z biografii Mikołajskiej wylania się życie złamane. Niby szczęśliwe, a jednak naznaczone jakimś brakiem. Krakowska punktuje to wszystko, powstrzymując się od jakichkolwiek ocen. Pochyla się nad Mikołajską często z podziwem, ale bez czułościowości. Szuka pęknięć na pomniku, z których ona sama doskonale zdawała sobie sprawę. I nie unika tematów drażliwych, ale zawsze podchodzi do nich z taktem. Jest więc o tym, że Mikołajskiej często zdarzało się wypić o kieliszek za dużo, jest o hipokryzji wielkich teatru, zażyłości z Adamem Michnikiem. Nie ma tylko jednoznaczności. Odpowiedzi pozostawia Krakowska czytelnikom.

Obok zaś mamy szczegółowy obraz PRL-u jako epoki, która łamała ludzi, ale niektórych złamać nie zdołała. Opowieść kończy się w chwili, gdy chora na raka Mikołajska zostaje zanieślona na wybory 4 czerwca 1989 roku. Zwycięstwo? Pewnie tak, ale o wyjątkowo gorzkim smaku. Wspaniała książka.



★★★★★

Joanna Krakowska „Mikołajska. Teatr i PRL”, w.a.b., Warszawa 2011, s. 517, 59 zł

Coraz dalej od siebie

Laureatka Pulitzera i portret zbiorowy z muzyką w tle



Jennifer Egan sprawnie porusza się po listach przebojów

Urodzona w 1962 roku Jennifer Egan znana jest już w Polsce z dwóch książek: „Spójrz na mnie” i „Niewidzialny cyrk”. Obie ukazały się nakładem Rebisu w 2003 roku, w zawieszony niestety serii „Jej portret”, prezentującej ambitną literaturę dla kobiet. Najnowszej książki amerykańskiej pisarki (wyróżnionej w tym roku Nagrodą Pulitzera oraz National Book Critics Circle Award) nie można jednak przyporządkować do „babskiego” pisania, bo obowiązuje w niej płciowy parytet. W opowieści przewija się kilkunastu bohaterów, których łączy to, że są lub byli związani z przemysłem muzycznym. 13 epizo-

dów ze zmieniającym się bohaterem pierwszoplanowym tworzy w sumie portret zbiorowy Amerykanów urodzonych w latach 1940–1980. Epizody te przedstawione zostały w zaburzoną porządku chronologicznym: pokazują protagonistów w różnych okresach życia, niekoniecznie w momentach przełomowych dla ich biografii. Za każdym razem oglądani są innymi oczyma i dopiero zebranie wszystkich punktów widzenia pozwala na wyodrębnienie poszczególnych postaci, wyłowienie ich z tłumu. Lecz już nie na ich dogłębne poznanie. Rzecz jednak w tym, że i oni sami pozostają dla siebie bliskimi nieznajomymi. Ich relacje zmieniają się jak w kalejdoskopie: jedna konfiguracja uczuciowa ustępuje innej, tak samo jak związki biznesowe czy poglądy na sztukę. Ten mętlik towarzyski zestawia Egan z rotacją na liście przebojów i konkurującymi ze sobą muzycznymi trendami.

Sugestywnie pokazuje w ten sposób, jak ogólne przyspieszenie życia wpływa na komunikację międzyludzką, dochodząc w końcu do fenomenu Facebooka. Przy tym autorka błyskotliwa jest wielce i diablo dobrze to wszystko podaje, w pełni panując nad fabularnym chaosem. „Zanim dopadnie nas czas” przynosi dość ponurą diagnozę naszych czasów jako epoki, w której człowiek w zastraszającym tempie oddala się od drugiego człowieka. Niby mało odkrywczą tezę, ale zapytajmy sami siebie: ilu z nas nie zgodzi się z tym, że prawdziwa?

MARTA MIZURO



★★★★

Jennifer Egan „Zanim dopadnie nas czas”, przeł. Katarzyna Waller-Pach, Rebis, Poznań 2011, s. 368, 35,90 zł

Za dużo tego dobrego

„Dark Souls”, „Uncharted 3”, „Batman: Arkham City” – każda z tych gier niechybnie będzie walczyć o tytuł premiery roku, z szansami na laur. A co z resztą? To już nie klęska urodzaju – to horror lawiny

OLAF SZEWCZYK



„Dark Souls”, czyli Kochaj albo rzuć. „Przekrój” nie raucit – trwa w afektie

Wemocjonujących internetowych potyczkach „Battlefield 3” każdego dnia przecinają powietrze miliardy kul, lada moment do walki o nasze nieśmiertelności włączy się nowe „Call of Duty”. Miłośnicy turówkę poszli na chorobowe lub urlop, by zatopić się w „Might & Magic: Heroes VI” (dawne „Heroes of Might & Magic” – w Polsce rzecz kultowa). A co parę dni trafia do sklepów kolejna Bardzo Ważna Gra, na którą zwyczajnie brakuje mocy przerobowych. Tej jesieni jestem bliski ogłoszenia zawodowego bankructwa jako recenzent gier. To jakieś szaleństwo.

Dzisiaj zatem zaledwie w telegraficznym skrócie o trzech nie były jakich tytułach, które wypadają do najmniej wziąć pod uwagę.

Sładka groza „Dark Souls”
Oblędnie wymyślony – bo jeśli to owoc geniuszu, to na granicy obłędu – i pięknie namalowany obcy świat, niczym z delirycznych mar. Dojmujące doświadczenie bezradności wobec wszechobecnego zagrożenia. Rozmyta granica między koszmarem a jawą. Ciężkość tajemniczego świata, w który nas rzucono bez żadnych drogowskazów. Krew, pot i ły, a także niezliczone śmierci, którymi płacimy za każdą próbę eksploracji nieznanego obszarów. To oferuje gra „Dark Souls” tym, którzy ośmielili się podjąć wyzwanie i nie wylączyli sfrustrowani konsoli PlayStation 3 po pierwszych

minutach. Bo nikt tu nie daje pardonu i nie zmienia pieluch.

W przypominającym wydaty średniowiecze świecie Lordaeron zabić nas może w mgnieniu oka byle szczer, a uzbrojonych w miecze i kusze truchłach nie wspominając. Według niektórych ta utrzymana w estetyce dark fantasy gra, następczyni „Demon’s Souls”, to atrakcja wyłącznie dla masochistów – fakt, już w pierwszych minutach trafiamy na wyzwanie, któremu, zdawałoby się, nie mamy szans sprostać. Kto jednak zaciśnie zęby i przejdzie pierwsze prógi, ten być może uzna „Dark Souls” za grę wyjątkową.

Produkcja zespołu From Software ma w sobie coś z ducha tytułów sprzed lat, które rzucały od razu na głęboką wodę. Potrafi wejść na ambicję i wdęptać w pył, karząc za arogancję czy beztrocki pośpiech, ale i uczciwie wynagradza wytrwałość i myślenie.

„Uncharted 3” przygód moc
Trzecia już odsłona sagi o poszukiwaczu skarbów Nathanie Drake’u, potomku admirała sir Francis’a Drake’a, to interaktywne kino wielkiej przygody. Szalenie efektowne, fachowo wyreżyserowane, z odpowiednio sztampowym, jak tego oczekujemy widzowie, scenariuszem. Myszujemy zatem po ukrytych lochach w ruinach francuskiego zamczyska, zapomnianej stacji i tunelach londyńskiego metra, tajnych komnatach i pod-

ziemiach afrykańskich warowni, strzelając do złych rywali, którym przewodzi bezwzględna dama o głosie Krystyny Jandy. Kreacje aktorskie są, jak zwykle w tej serii, najwyższej próby, z rewelacyjnym Jarosławem Boberskim jako Drakiem na czele. „Uncharted 3” punktuje charzmatycznymi, inteligentnie rozpisany postaciami drugiego planu, dystansem, lekkością i humorem w dobrym guście. Jeszcze raz to samo – ale dla czego nie.

Gacek znów wypina kłotę w „Batman: Arkham City”

W powszechnej opinii „Batman: Arkham Asylum” był w ubiegłym sezonie jedynym rywalem „Red Dead Redemption” do tytułu gry roku. I zdobył niejeden złoty laur.

Padają głosy, że „Batman: Arkham City” jest jeszcze lepszy. Cóż, być może jestem po prostu wyjątkowo odporny na uroku człowieka-gacka, ale i tym razem nie potrafię poddać się do końca magii tej gry – choćbym chciał. Jest rzeczywiście imponująco zbudowana, ale ja wciąż widzę spoiny między ceglami.

Owszem, miło jest szybować nad Arkham, pacyfikować złoczyńców, korzystanie z bat-gadżetów sprawia frajdę. Ciekawie – i zupełnie inaczej – gra się Kobieta-Kotem. Bez dwóch zdań fachowo zaprojektowana, efektowna, udana gra. Niestety, nic nie jestem w stanie poradzić na to, że w trakcie zabawy tupałem się na przemożnej chęci powrotu do mrocznego świata Lordaeron lub na pustynię, by wspomóc Nathana Drake’a. Ale spróbować trzeba.

★★★★★

Dark Souls, PS3, X360, FROM SOFTWARE, CENEGA

★★★★★

Uncharted 3: Oszustwo Drake’a, PS3, NAUGHTY DOG, SONY

★★★★

Batman: Arkham City, X360, PS3, ROCKSTEADY, CENEGA

ANNA MARIA JOPEK

TRZY NOWE PŁYTY



od 4 do 23 listopada trasa koncertowa SOBREMESA

*Kielce *Bielsko-Biała *Zabrze
*Wrocław *Łódź *Lublin
*Rzeszów *Kraków *Sopot
*Bydgoszcz *Warszawa
*Szczecin *Konin

annamariajopek.pl * 4music.com.pl





Jane Birkin zaśpiewa piosenkę Gainsbourg'a. To mocny punkt Ars Cameralis

Cała wstecz

Chcesz być na czasie z muzyką? Słuchaj staroci. xx edycja festiwalu Ars Cameralis pokazuje, że współczesnością rządzi retro

MARIUSZ HERMA

Pierwszy w Polsce klubowy koncert znakomitych Fleet Foxes i pierwszy w ogóle Billa Callahana. Pierwsza wizyta modnego El Guincho i największego spóźnialskiego ostatnich lat – 63-letniego wokalisty Charlesa Bradleya, którego debiutancki album ukazał się dopiero w styczniu tego roku. A także francuskie m83 w kilka tygodni po wydaniu dwupływowego *opus magnum*. W programie śląskiego festiwalu Ars Cameralis nowość zdaje się gonąć nowość.

Żerowanie na trupach

Spróbujmy jednak przetrzymać ów program na epoki muzyczne. Pochodzący z Seattle Fleet Foxes godzą angielski folk z tym, czego na Wschodnim Wybrzeżu USA słuchano w latach 60. (a słuchano głównie Beach Boysów). Hiszpański producent El Guincho, czyli Pablo Díaz-Reixa, miksuje tropicalię z afrobeatem, a zatem brazylijskie lata 60. z nigeryjskimi 70. Bill Callahan mógłby, i zapewne chciałby, krążyć po Stanach Zjednoczonych u boku Johnny'ego Casha albo chociaż Boba Dylana (sprzed okresu elektrycznego). Anthony Gonzalez, *spiritus movens* m83, zafiksował się zaś na najbardziej syntetycznej z dekad – latach 80. Niewzruszony

wiekami własnym ni metryką muzyki popularnej Charles Bradley nie tyle nawiązuje, ile jawnie kopiuje funk i soul z winyli nagromadzonych jeszcze w dzieciństwie. A przy tym wszystkim katowicki Ars Cameralis jest – nie tylko jak na polskie warunki – festiwalem bardzo na czasie.

Bradley to niedawny nabytek Daptone Records. Nowojorska wytwórnia wyspecjalizowała się w reanimowaniu czarnej amerykańskiej muzyki spod znaku Jamesa Browna, Otisa Reddinga i fabryki soulu Motown. Oskarżenia o żerowanie na przeszłości, by nie powiedzieć: na trupach, jej menedżerowie zbywają prostym pytaniem: czy ktoś ma pretensje do reżyserów teatralnych o to, że wciąż eksploatują dorobek Szekspira? Gdy mistrz odchodzi, przekonują, ktoś powinien podjąć jego dzieło, w przeciwnym razie zostanie zapomniane. Spuściznę mistrzów od zapomnienia ocalają takie gwiazdy Daptone jak instrumentalny kolektyw The Budos Band czy charyzmatyczna Sharon Jones wraz z zespołem The Dap-Kings, który wspierał Amy Winehouse przy nagrywaniu słynnego „Back to Black”. Nie interesuje nas zabawa w retro – zastrzega wprawdzie Beth Roth, producent i jeden z założycieli Daptone, ale zaraz dodaje: – Są tacy, którzy twierdzą, że od 1973 roku nie powstał ani

jeden naprawdę dobry album. I ja się z nimi w dużej mierze zgadzam.

Sentymen do urodzaju

Z Rothem nie zgadza się lider m83 Anthony Gonzalez. – To idealne czasy dla muzyki. Codziennie wydaje się tysiące ciekawych płyt, już zaczynam się w tym wszystkim gubić – przyznał niedawno. Jako artysta ostatecznie wyładował jednak w tym samym miejscu co szef wytwórni Daptone: we wspomnieniach z własnej młodości. Jego najnowszy, podwójny album „Hurry Up, We're Dreaming” swoją estetykę, instrumentarium oraz brzmienie zawdzięcza bezpośrednio latom 80. – Cóż, głównym założeniem podczas nagrań na pewno nie było stworzenie czegoś nowoczesnego – mówi Gonzalez. – Nie troszczę się o nowoczesność. Zależy mi raczej na muzyce ponadczasowej – dodaje. Podobne idee przywiecały ostatnio Justinowi Vernonowi z Bon Iver czy Danowi Bejarowi z kanadyjskiego Destroyer, gdy pisali jedne z najlepszych, a jednocześnie najbardziej zadłużone wobec lat 80. piosenki, jakie słyszał 2011 rok.

Obsesję na punkcie lat 70. zdradza z kolei ostatnia płyta Johna Granta „Queen of Denmark”, której spore fragmenty usłyszymy w ramach Ars Cameralis w chorzowskim Teatrze Rozrywki. W Teatrze Zagłębia w Sosnowcu słynna francu-

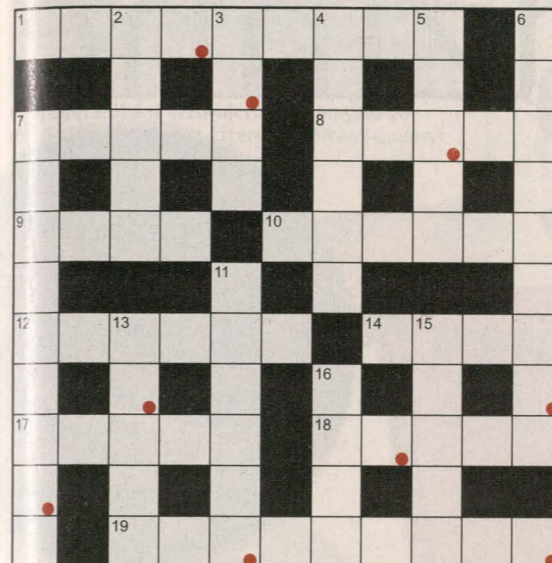
ska pieśniarka i aktorka Jane Birkin przypomni utwory swego męża Serge'a Gainsbourg'a, przenosząc nas tym samym o 1200 kilometrów na zachód i o 40 lat wstecz. Do katowickiej Hipnozy nieco bliżej, ale tylko geograficznie niemieckiemu Faustowi, który symbolizuje lata świetności krautrocka. Stephen Malkmus, którego koncert zamknie śląski festiwal, znany jest głównie jako założyciel kalifornijskiego The Pavement: legendy indie rocka, tyle że tego z początku lat 90., a nie ery blogosfery.

W całym programie Ars Cameralis nie sposób wskazać choćby jednego reprezentanta pierwszej dekady nowego wieku, nie wspominając o rozpoczętej już... drugiej. A zarazem, powtórzmy, jest to jedna z bardziej aktualnych imprez muzycznych w naszym kraju. Bo w tych najlepszych latach muzyki czasach właśnie retro staje się nurtem dominującym. Jedni tłumaczą to zwykłym sentymentem, który karmi się coraz bogatszymi sieciowymi archiwali. Inni – że wciąż trawimy plony minionych dekad – dekad niebywałego urodzaju.

Ars Cameralis potrwa od 7 do 28 listopada w Katowicach, Sosnowcu, Chorzowie i Mikołowie. Wystąpią między innymi Fleet Foxes, m83, Faust, Jane Birkin oraz Bill Callahan. Szczegółowy program na www.cameralis.art.pl

KRZYŻÓWKA NR 45

Litery z oznaczonych pól czytane poziomo utworzą wyraz-rozwiązanie.



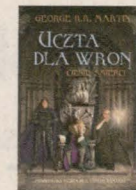
POZIOMO:

1. POKOJOWO NASTAWIONO
7. NAPISAŁ GRUBO KSIĄŻKA
8. SŁUŻY W RAFIE
9. ROŚLY NA PODWÓRKU
10. ZDROWIA, ALE NIE POMYŚLNOŚCI
12. WÓZ PRZEWÓZ
14. PO O PO PO PO ROZ
17. PALENIE NA LEWO
18. SZMATKA POLKA
19. ZAMSZOWY POKÓJ

PIONOWO:

2. WŁASNA ŁÓDŹ
3. PARAPETÓWKA
4. W BARZE POD PAPUGAMI
5. SEKS MIĘDZY LINAMI
6. MISS MIS
7. PUDEŁ NA PUDLE
11. TONAĆCY BRZYTYWY SIĘ NIE CHWYTA
13. MA SWÓJ ŚRODEK
15. CEL KRETA
16. ŁAŃCUCH Z KROWĄ

W numerze 41 „Przekroju” zamieściliśmy błędny diagram. Czytelników, którzy odczytali z czerwonych kropek rozwiązanie, czekała niespodzianka w postaci dziwnego hasła NILJEOLYA. Odpowiedź tę uwzględniliśmy przy losowaniu laureatów, podobnie jak hasło UCIECZKA z prawidłowego diagramu zamieszczonego w Internecie. Jak słusznie zauważył jeden z naszych fanów, NILJEOLYA to fonetyczny zapis afgańskiego miasta NILE OLYA. Poprawiacz głowie popiołem, cieszymy się, że na błędach można się jednak czegoś nauczyć.



Nagrodą w tym tygodniu jest książka „Uczta dla wron. Cienie śmierci” George'a R.R. Martina, wydawnictwo Zysk i S-ka.

Wygraj jedną z 10 książek. Rozwiąż krzyżówkę i prześlij do nas hasło. Wyślij SMS o treści PRZEKROJ.HASLO KRZYZOWKI na numer 7243. Rozwiązania możesz także przysłać na kartce pocztowej (decyduje data stempla) na adres: „Przekrój”, ul. Ślusarska 9, 30-702 Kraków, z dopiskiem: „krzyżówka 45”. Na prawidłowe rozwiązania czekamy do 13 listopada 2011. Koszt SMS-a: 2 zł netto/2,46 zł brutto.

Już za 2 tygodnie najnowszy tom z cyklu „Pieśń Lodu i Ognia” – „Taniec ze smokami”!!!

ROZWIĄZANIA Z NR. 43

Krzyżówka:
MELANCHOLIA
Poziomo: 1. BÓR, KOMOROWSKI – MYŚLIWSTWO
7. CIASNE, ALE WŁASNE – IRYSY
8. DYSKUSJA NA PODŁOŻE – PANEL
9. KOLEJKA ZA KOLEJKĄ – LIGA
10. ZDEGRADOWANY, W WOJSKU – PLUTON
12. DZIKI NA POLU – CHWAST
14. POMYLONY Z KONDRATEM – ŚWIR
17. MYJE WODE – CHLOR
18. ZOSTAJE PO SPUSzcZENIU WODY – SZLAM
19. DOBRANOC – WIELKANOC

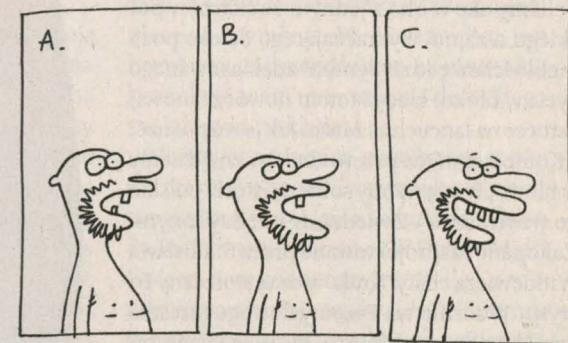
Pionowo: 2. SKRZYŚNIEK – ŚNIEG
3. WRÓCŁ Z SYRI – IRYS
4. POLA WSRÓD DRZEW – TOPOLA
5. NAKRYŁ KSIĘDZA W ZAKRYTYM – ORNAT
6. POTOP NA LEKCIJ POLSKIEGO – PALINDROM
7. MAŹ HERBUŚ – SZLACHCIC
11. TĘPI SIĘ JE – OSTRZE
13. WODA WYSTĘPUJĄCA NA ZIEMI – WYLEW
15. RYBA OD GŁOWY – WELON
16. POKORNE CELE – SSKAC

LAUREACI Z NR. 42

Krzysztof Helewski, Dąbrowa Górnicza;
Leszek Jankowski, Kalisz;
Danuta Klepińska, Toruń;
Włodzimierz Kosicki, Gdynia;
Teresa Krupka, Szczecin;
Ryszard Malik, Straszyn;
Grażyna Romanowska, Kołczewo;
Maria Staniszeńska, Gniezno;
Iwona Wantuch, Zielona Góra;
Adam Wnęk, Olsztyn

BRACIA M BARTOSZ I TOMASZ MINKIEWICZ

[WWW.FACEBOOK.COM/WILQSUPERBOHATER](http://www.facebook.com/wilqsuperbohater)



NA KTÓRYM RYSUNKU PRZEDSTAWIONY ZOSTAŁ BÓG MORZA – NEPTUN?

JEDNO DANIE ADAMA GESSLERA

Nereczki pani Toklas



Dziś o cudownych nereczkach ciętych. Zrobiłem je w krakowskiej restauracji dla radcy francuskiego rządu. Ten spróbował i wykrzyknął: – Ależ to danie Madame Toklas!

Madame Toklas to Alicja Toklas, towarzyska życia Gertrudy Stein, wielkiej gospydny i kucharki europejskiej początku XX wieku. To ona gotowała dla Hemingwaya, Picassa... Co powiecie państwo na przepis na to danie? Odnalazłem go w przedwojennym menu Hotelu Francuskiego. Oto **NERECZKI ZAPIEKANE W SOSIE**: Pokrojone nerki cielęce rzucamy na rozgrzaną patelnię ze sklarowanym masłem i chwilę dusimy na średnim ogniu, dodajemy pieprz, 125 ml gorącej madery. Później zmniejszamy ogień i dusimy na patelni pod przykryciem 5 min. Durszlakiem wyciągamy nerekę z patelni, w ich miejsce dodajemy z stołowej łyżki masła i wrzucamy 6 kromek chleba. Obsmażamy. W międzyczasie nasze nereczki mieszamy

z 7 łyżkami stołowymi masła, łyżką: siekanej natki, szalotki, pieprzu, 1/2 łyżeczki soli, 4 żółtkami. Na koniec dodajemy pianę z 4 białek. Nasze grzanki układamy na żaroodpornym półmisku, smarujemy masą z nerek, posypujemy bułką tartą, polewamy roztopionym masłem, zapiekamy przez 20 minut w nagrzanym do 200 stopni piekarniku. Do grzanek podajemy sos: na małym ogniu podgrzewamy 250 ml esencjonalnego bulionu z łyżką octu winnego i soli, 1/3 łyżeczki pieprzu i 1 łyżką stołową masła wymieszanego z 1 łyżką stołową mąki. Gotujemy sos na małym ogniu przez 5 min. Tymczasem w moździerzu rozcieramy 1 łyżkę estragonu, kaparów, natki, szalotki i ząbek czosnku. Miksturę dodajemy do sosu, mieszamy na małym ogniu, aż stanie się zielony, nie dopuszczamy do zagotowania. Następnie przeciszamy, podgrzewamy raz jeszcze i zalewamy sosem nasze grzanki. Wiwat Madame Toklas! Wiwat Kuchnia!

KAWKA I PAPIEROSKI



Nowy odcinek serialu „Kawka i Papieroski” z aktorскими kreacjami Iwony Sitkowskiej i Jakuba Bohosiwicza co tydzień na www.przekroj.pl oraz w aplikacji „Przekroju” na iPadzie dostępnej w App Store



ŁADNE RZECZY

Skarby rodzinne

Czyli odkrywamy sekrety babcinej komody

OLA SALWA

Podczas obchodów tegorocznego Święta Niepodległości nie wybieramy się na żadne parady, ale nie rezygnujemy z odruchów patriotycznych. Jednym uchem wpuszczamy piosenki legionowe (naszą ulubioną zawsze była ta o Pierwszej Brygadzie), a całym sercem i umysłem zanurzamy się w historii. Zaczynamy od szczegółu i podczas świątecznej wizyty u babci rozglądamy się czujnie po pokoju dziennym.

Interesują nas wszystkie obiekty wzornicze, które pamiętamy z dzieciństwa: cukiernica, imbryk do herbaty, etażerka, wazon i dziwna figurka. Kto wie, być może okaże się, że stanęliśmy oko w oko z jednym ze skarbów polskiego dizajnu, wykraczającego daleko poza meblościankę (dziś symbol zdeklasowanego życia w bloku, kiedyś totem nowoczesności), sztucce na łańcuchu i Misia. Jak je rozpoznać?

Kompetentnych przewodników znajdziemy w filmie „Poużywajmy sobie. Historia polskiego wzornictwa”. Zwiedzimy między innymi Zakopane i zaprojektowane przez Stanisława Witkiewicza chaty, Kraków oraz stołeczny Instytut Wzornictwa Przemysłowego (zresztą współproducenta filmu), który w latach powojennych był matecznikiem zdolnych projektantów. Zachwycamy się między innymi fotelem Romana Modzelewskiego, zrobionym w dużej części z tworzywa sztucznego, doceniamy także przez bratni naród francuski, chcący wdrożyć przedmiot do produkcji i sprzedawać na polskiej licencji – co niestety zablokowały władze PRL. Podobnie jak większość światłych, rodzimych projektów, przez co w naszych wylansowanych stołówkach i biurach stoją te okropne plastikowe krzesła Panton szwajcarskiej Vitry. Co jeszcze nas omięnęło – obejrzymy 11 listopada na naszych japońskich lub koreańskich telewizorach. ●

„Poużywajmy sobie. Historia polskiego wzornictwa”, Domo.tv, 11 listopada, godz. 22

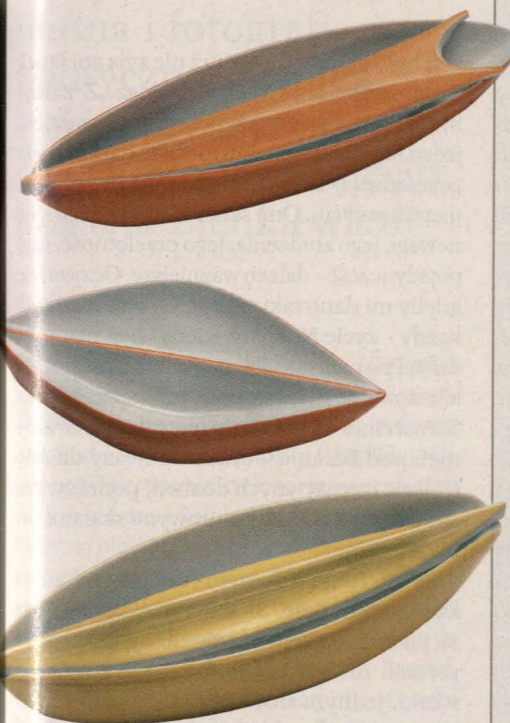


Na przekór czasom i (ważnym) ludziom wbrew: kolorowe ozdoby jako odtrutka na PRL

Na dole po lewej: rasowa ceramika, na dole po prawej: artystki ludowe



W drogę! Polskie wzornictwo przemysłowe to także duże formy z czterema kółkami (u góry)



Barwne miseczki, aby ludziom żyło się lepiej, dostatniej, a przede wszystkim ładniej

NO ŁADNIE!

Plotki są w modzie!

A teraz coś z zupełnie innej beczki. Kiedy nasycimy się już klasyką, wzornictwem i doniosłością, dla zachowania równowagi hodujemy najniższym instynktom. Zamiast wchodzić na Pudelka, biegniemy do księgarni, gdzie czeka na nas powieść „Fashion Babylon” Imogen Edwards-Jones na podstawie rozmów z projektantami, modelkami, fotografami, którzy zostali uwzględnieni na okładce jako „autor anonimowy”. Śledzimy pół roku z życia fikcyjnej kreatorki mody i nurzamy się w bagienku skandali i przekrętów, dowiadując się na przykład, że niektórzy projektanci, zamiast szyc nowe ubrania, przerabiają stare z bazarów, a nawet nowe z sieciówek. Juhu!

KRONIKI POPKULTURY

W stronę kultury wysokiej

...czyli moje muzealne miłości



LUKASZ ORBITOWSKI

Umęczony rozrywką dla plebsu, ciężko ku rzeczom wzniosłym. Lecz dokąd winienem się zwrócić? W kinie sequele, hałaśliwe widowiska i arcydzieła, których głębię można wynosić wiadrami. Muzyka? Nadaktywność teledyskowa Rihanny sprawia, że oczy zalewa mi plama barwy czerwonej w odcieniu kudłów tejże piosenkarki. Fajowych seriali znalazłem nazbyt wiele, z kolei w teatrze rozbiegają się tak często, że aż głupio przychodzić pod kraty. Co robić? Jak rozpocząć pracę nad odchamieniem się? Wiem. Rozpaczam trasę muzealną.

Na początek lecę do Oslo. Tam planują otworzyć muzeum black metalu, gromadzące pamiątki z czasów, kiedy Nergal na Szatana mówił „papu”. Chcę pomóc. Przypomnijmy, że Norwegowie na początku lat 90. prócz darcia kopary palili więcej kościołów niż jointów i różnili się jak, nie przymerzając, na Wołyniu. Przyglądam się ekspozycjom bliskim sercu każdego satanisty: taśmom demo z rysowanymi okładkami, setlistom, plakatom, ulotkom. O! pierwsza kaseta Stigma Diabolicum, nagrana bez perkusisty! Nic, tylko słuchać. Z dóbr wyróżnia się ulotka Burzum ze zgliszczami kaplicy, zapalniczka sygnowana logo tegoż (i służąca do celów wiadomych), zdjęcie ochlapanej juchą golutkiej pary w wannie oraz rysunek sporządzony własną krwią przez niejakiego Nattefrosta. Powinienem zapytać organizatorów, czy planują zniżki dla szkół, umykam jednak, przygnieciony obecnością zła tak silną, że potrzebuję odurzenia.

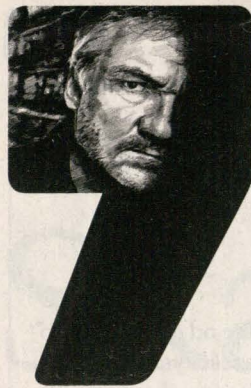
Holenderskie Muzeum Haszyszu, Marihuany i Konopi rzeczywiście oszałamia rozmachem. Rzetelne wprowadzenie historyczne uświadamia mi, że zioło wniosło w naszą kulturę więcej niż religie Księgi

razem wzięte. Wędruję od eksponatu do eksponatu, jest ich sześć tysięcy, a więc się nachodzę. Podziwiam obrazy wybitnych jaraczy (niektóre liczą czterysta lat), bonga większe od mojej głowy oraz rozliczne fajki, w tym jedną z wyrzeźbionym łbem uchachanego dzikusa. A ozdobne pudzanko z początku zeszłego wieku przebija urodą wszelkie papierośnice. Trzeba dopowiedzieć, że muzeum jest biznesem rodzinnym, prowadzonym przez kolejne pokolenia, a wstęp kosztuje zaledwie sześć euro, tyle co gram haszu na Powiślu.

Moje rozbudzone życie wewnętrzne domaga się ciągu dalszego. Wskakuję w samolot do Tokio, by odwiedzić jedyne w świecie Muzeum Pasożytów. Największe wrażenie robi dziewięćmetrowy stwór utuczony w brzuchu pewnego Japończyka. Zwinięty w gablocie kojarzy się ze sznurkiem strażackim, ale obsługa daje mi sznur prawdziwy, identycznej długości, abym zrozumiał, z jakim to okazałym stworzeniem mam do czynienia. Ponieważ wstęp jest bezpłatny, zaoszczędziłem na muzealną koszulkę i mam teraz zdjęcie dorodnego paskudztwa na kłacie.

Wizyta w muzeum pasożytów może wstrząsnąć co wrażliwszymi konsumentami kultury wysokiej – na szczęście z Tokio do Indii jest rzut beretem. W Delhi znajduje się miejsce zdolne przynieść ulgę, a mianowicie muzeum ustępów. Ulotka informuje mnie, że zgromadzono tam sprzęt ułatwiający wypróżnianie się od starożytności aż do dzisiaj i rzeczywiście – wiem już, że wartość sznurka od spluczki niekiedy przewyższa wartość diamentowej kolii. Wchodzi między klopy cenniejsze niż sklepienie Kaplicy Sykstyńskiej, podziwiam dokonania fekalnych Picassów. Zdejmuję czapkę na dowód szacunku. Strach myśleć, kto dumał na tych cudach.

Moja wyprawa przedwcześnie dobiega końca – amerykańskie Muzeum Menstruacji zamknęło swe podwoje i muszę wracać do domu. Oczywiście mądrzejszy. I domagam się muzeum disco polo, polskiego brovarnictwa i domorosłych gadżetów erotycznych z PRL. ●



Nie ma pewności zwycięstwa, ponieważ zwycięstwo nie istnieje, życie jest przegrana; z dnia na dzień, z tygodnia na tydzień przegrywamy wszyscy. (Co oczywiście nie znaczy, że należy siedzieć i pierdzić w stołek, należy grać do przegranego końca, przegranego, ponieważ – powtarzam – przegramy wszyscy). Wszyscy, łącznie z naszymi geniuszami

20 PAŹDZIERNIKA

Gdyby śmierć potoczyła się inaczej, rok Czesława Miłosza mógłby być rokiem Jana Sztwiertni. Rok wielkiego poety – rokiem wielkiego kompozytora. Może rokiem ich obu? Może Janek Sztwiertnia, gdyby dane mu było życie bogate i długie, napisałby wedle wierszy Noblisty jakiś cykl pieśni? I teraz te arcydzieła do pełnego znużenia szłyby na okrągło we wszystkich kanałach, radiostacjach i czym tam jeszcze; młodzież szkolna byłaby nimi maltretowana, odbywałyby się setki sympozjów i koncertów; od słuchania kolejnych referatów na temat związków pomiędzy muzyką a poezją niejeden humanista odwalaby kite?

Urodzili się w 1911, jeden – jak wiadomo nielicznym – 1 czerwca w Ustroniu na ziemi cieszyńskiej, drugi – jak powszechnie wiadomo – 30 czerwca w Szetejniach na ziemi wileńskiej. Miłosz niekiedy lubił mawiać, że ma się za obywatela i spadkobiercę Wielkiego Księstwa Litewskiego. Sztwiertnia mógł się śmiało uważać za obywatela i spadkobiercę może nie wielkiego, ale wielce czcigodnego, bo wieki całe istniejącego Księstwa Cieszyńskiego.

21 PAŹDZIERNIKA

Jak łatwo wyliczyć: muzyk, gdy poeta przychodził na świat, miał już cztery tygodnie. Jedyna – na samiutkim starcie – bez zasługi i w gruncie rzeczy nie wiadomo po co dana przewaga? Niezbadane są wyroki. Swoją drogą, im więcej człowiekowi lat przybywa, tym częściej myśli, że P.B. zbyt długo na nieodgadniości swych werdyktów jedzie. Nie żebym coś doradzał, ale od czasu do czasu mogłaby się – Panie Boże – zdarzyć jakaś zrozumiała akcja.

Nad kołyską Miłosza dobre znaki świeciły, przyjazne anioły fruwały, ten, jak ktoś powiedział, „baławień sudby” miał zaznać w swym przeszło dziewięćdziesięcioletnim życiu wszystkich smaków, przygód i splendorów widzialnego świata. Nad kołyską nieślubnego dziecka Marii Sztwiertnianki, robotnicy trzynieckiej huty, cicho było

i smutno – noworodkowi do śmierci w obozie koncentracyjnym pozostało bez mała trzydzieści lat życia, bardzo nieraz skromnego.

Kiedyś taka opozycja dwu żywotów: szczęśliwego i tragicznego; spełnionego i niespełnionego; zapamiętanego i zapomnianego zdała mi się oczywista: wiadomo, kto wygrał, kto przegrał. Dziś takiej pewności nie mam, a już pewności jakiegokolwiek zwycięstwa nie mam za grosz. Nie ma pewności zwycięstwa, ponieważ zwycięstwo nie istnieje, życie jest przegrana; z dnia na dzień, z tygodnia na tydzień przegramy wszyscy. (Co oczywiście nie znaczy, że należy siedzieć i pierdzić w stołek, należy grać do przegranego końca, przegranego, ponieważ – powtarzam – przegramy wszyscy). Wszyscy, łącznie z naszymi geniuszami. Niezwykle dzieło Andrzeja Franaszka: intensywną eseistyczną prozą i z brawurą językową energią napisana biografia Miłosza, to nie jest biografia zwycięzcy. Autor wielce przenikliwie – prócz setek innych wątków – pokazuje, iż cena, jaką przychodzi – nawet, a może zwłaszcza prawdziwie wielkim postaciom – płacić za pewne „tryumfy” (za to, co bywa za „tryumf brane), jest nieraz tak straszliwa, że warto się zastanowić nad udziałem w turnieju. I niekoniecznie musi to być Miłoszowski „Turniej garbusów, literatura”.

22 PAŹDZIERNIKA

W 1936 dwudziestopięcioletni autor ukończonej niedawno opery „Sałasznicy” rozpoczyna studia w Śląskim Konserwatorium i kupuje wymarzone radio, tego samego roku jego rówieśnik pisze jeden ze swoich chyba najbardziej nieśmiertelnych wierszy: „Jechaliśmy przed świtem po zamarzłych polach, / Czerwone skrzydło wstawało, jeszcze noc. / I zając przebiegł nagle tuż przed nami, / A jeden z nas pokazał go ręką. / To było dawno. Dzisiaj już nie żyją / Ni zając, ani ten co go wskazywał. / Miłości moja, gdzież są, dokąd idą. / Błysk ręki, linia biegu, szelest grud – / Nie z żalu pytam, ale z zamyślenia”.

To było dawno, dzisiaj już nie żyją ani Janek Sztwiertnia, ani Czesław Miłosz. Z żalem myślę, że jedynym, co przesądza, są dzieła, jeden napisał, drugiemu nie było dane. Dzieła przesądza, ale sztuka nie musi być najważniejsza w życiu. Ono samo w sobie – jego równowagi, jego złudzenia, jego przelotność, jego pojedynczość – daleko ważniejsze. Oczywiście, gdyby mi dano taki wybór, wybrałbym – jak każdy – życie Noblisty. Kiedyś bez namysłu, dzisiaj po namysłu. Po namysłu, bo nie jest wykluczone, że parę lat spędzonych przez Janka Sztwiertnię na posadzie nauczyciela w Równym pod Baranią Górą równoważy dziesięciolecie intensywnych doznań, podróży, prestiży, kąpieli pod marmurowymi skałami i innych cudów.

„Tkwią tu na Równym rzucony ręką boską w to odludzie. Siedzę jak Adam u Boga za piecem. Jestem samodzielny, nikt mi po piętach nie gania, ułożyłem własny plan nauki, jednym słowem rządę małym królestwem biednych małych góralików. Środków naukowych mam niewiele, ale nadrabiam wszystko rysunkiem. Szczególniejszą uciechę mają brzdące na nauce o rzeczach, gdyż wtenczas kredy nie wypuszczam i liniami rozszerzam światopoglądy. Po odbytych lekcjach przyjemna lektura czy też namiętne walenie kropek w papier albo, o ile ładnie, przemierzanie pasma Baraniej Góry. Pędzić można sielankowe życie, trzeba było tylko «jakiej baby», a byłby raj” – pisał w listach do przyjaciół.

I raj się spełnił, kompozytor położył fachowe, niefachowe oko na córce gospodarzy, u których się stołował, i stało się, co się miało stać. Oko fachowe – wyjaśniam – bo Ewka Wantuloczka była niezła i dwóch synów mu urodziła; oko niefachowe, bo rychło po ślubie okazało się, że pisanie muzyki mimo wszystko nie ceni i Jankowi, w życiu codziennym raczej ofermie, zdrowo w dupę daje. Nie mówię, że w zaistniałej sytuacji artysta z ulgą poszedł do obozu, ale za swoje brał. Cdn.

Upadek posła

Polityka nie musi być nudna i fotografia polityczna również. Dziś o przeżywającym drugą młodość zdjęciu Macieja Zienkiewicza

KUBA DĄBROWSKI

Niedziela, 19 października 1997 roku. W poniedziałek ma się odbyć pierwsze posiedzenie Sejmu III kadencji. Zanim do tego dojdzie, przy Wiejskiej spotykają się przedstawiciele formujących rząd Akcji Wyborczej Solidarność i Unii Wolności. Pomimo niedzieli w Sejmie pojawia się spora reprezentacja mediów – z „Gazety Wyborczej” na parlamentarny dyżur trafia Maciej Zienkiewicz. Miesiąc wcześniej przeniósł się do Warszawy z oddziału w Krakowie. – Specyfika Krakowa była taka – wspomina – że robiło się głównie albo kulturę, albo typowe tematy „z miasta”. Tutaj doszła polityka, musiałem wychodzić sobie nowe ścieżki i wyrobić nowe odruchy.

Polityczne negocjacje kończą się późnym wieczorem, po 21. Fotoreporterzy wykonują oficjalne zdjęcia świeżo upieczonych koalicjantów. Po wszystkim dowodzona przez Tomasa Wójcika grupa posłów z AWS udaje się na salę obrad. Zanim zbierze się Sejm, chcą załatwić jeszcze jedną sprawę – nad drzwiami zawiesić krzyż. Dostali go od kustosa zbiorów muzealnych Jasnej Góry – jest wykonany z hebanu, z figurą Chrystusa wyrzeźbioną w XIX wieku przez anonimowego ludowego artystę. Piękny przedmiot. – Nie pomyśleliśmy o kilku szczegółach technicznych, takich jak między innymi drabina. Nie mieliśmy wówczas odpowiedniego doświadczenia sejmowego, nie wiedzieliśmy, że do naszej dyspozycji są służby techniczne i można było zlecić zawieszenie krzyża któremuś z techników – opowiadał poseł Wójcik w wywiadzie dla tygodnika



FOT. MACIEJ ZIENKIEWICZ/AG

„Niedziela”. – W każdym razie młotek i gwoździe miałem, natomiast jako drabiny postanowiliśmy użyć fotela marszałkowskiego. Wbiłem krucyfiksu ma się zająć najwyższy w całej ekipie poseł Piotr Krutul.

Zamieszanie zauważają reporterzy. Trafiają na moment, w którym daje o sobie znać techniczna prowizorka przedsięwzięcia – pracujący na wysokości poseł Krutul chwije się, spada z fotela i próbuje się ratować chwytając za framugę. – Podniosłem aparat do oka i zdążyłem zrobić dwa zdjęcia – relacjonuje Zienkiewicz. – Wiedziałem, że udało mi się złapać moment, ale bałem się, że kadr wyjdzie poruszony. Lekkie rozmazanie może podkreślić dynamikę sytuacji, duże

może zdyskwalifikować kadr. Fotograf woli klisze w „zakładowym” laboratorium. – Kiedy zobaczyłem zdjęcie na stykówce, wiedziałem, że jest dobrze. Spodobało mi się, że oderwana framuga ułożyła się w kształt połamanego krzyża, przypadkowo pojawiła się nowa symbolika.

Późniejsza kariera Zienkiewicza potoczyła się w zupełnie innym kierunku – wyspecjalizował się w portretach, uprawia fotografię mody. – Cały czas przydaje mi się jednak ten wyrobiony na początku instynkt reportera – mówi. – Jestem dzięki niemu otwarty na nieplanowane sytuacje, potrafię wyjść z sesji ze zdjęciem, o którym wcześniej nawet nie myślałem.



poleca

PRZEKROJ

Z N O W U R O Z M A I T O S C I

OFICJALNA SELEKCJA BERLIN FILM FESTIVAL 2011
OFICJALNA SELEKCJA EDINBURGH FILM FESTIVAL 2011
OFICJALNA SELEKCJA SUNDANCE FILM FESTIVAL 2011

FILM, KTÓRY POBIŁ AVATARA!

THENEWS.COM

KAPITALNA ROZRYWKA!

ONE INTERNATIONAL

ELITARNI OSTATNIE STARCIE

DOBRY GANGSTER, TO MARTWY GANGSTER... W KINACH



RACZKOWSKI NA KONIEC

Comic strip with characters and dialogue bubbles: 'SYNU! MAM JUŻ DOŚĆ TEJ OBTU-DY, OD AWARIA NADEŚCZA CHWILA BOLESNEJ PRAWDY... NI PODDAJĄ MI SIĘ ANI TWOJE RYSUNKI, ANI TO, JAK DEKLARUJESZ WIERSZYKI'

NIE TAK: JAN KOZA

Comic strip with dialogue bubbles: 'UHOWE MAŁ O DZIEŁO A KREDYT DOSTAŁEM... TO NA CO MAM SIĘ OBRZĄC?'



TWOJ PRZEKRÓJ

Arek Dobień żartuje, że fotografuje, bo nie umie malować. Dzięki zdjęciom zapamiętuje miejsca...

IPAD

Zdolny i miłoty (duchem, a nawet ciałem) Czytelniku, Twój Przekrój to miejsce dla Ciebie...

RETROSPEKCJA Amatorska sztuka Tu wzbory, tam Zająca Perska, a ludzie w sile wieku żyją zupełnie czymś innym...

Cechy szczególne Niezwykłe ogłoszenie ukazało się w numerze 228 'Cionu Wielkopolskiego'...

ICH SZĘŚCIE, ONA JEDNA Ogłoszenie matrymonialne z numeru 228 'Cionu Wielkopolskiego'...

MYŚLNIK KRZYSZTOFA BILICY Stawiaj problem na własnej głowie, nie jego.



Niebezpieczna metoda, czyli sposób na 'In Treatment' (dramat psychologiczny)

Występują: REŻYSER, AKTORZY oraz wiecznie niezadowolona PUBLICZNOŚĆ

REŻYSER: Moja metoda na adaptację jest taka: Jerzy - łątujący, Marcia - jak zwykle, reszta bez szaleństw...

AKTORZY: (nie mają pytań i od razu biorą się do roboty) PUBLICZNOŚĆ: (zasypia w połowie pierwszego odkodowanego odcinka)

ROMAN KURKIEWICZ

RP wolna od faszystów

Ranek, 11 listopada, Warszawa. Rozmawia dwóch znajomych...



LEWO MYŚLNIEM

- Idziesz maszerować? - Nie, wręcz przeciwnie. - A co się tak wystraszyleś? - No mówili, żeby odświętnie, bo to święto jednak... - Jednak? - Wiesz, my nie za bardzo z tym reżymem demokratycznym, za to Urią całą... - To może kiedyś indziej powinieneś maszerować... - Ale kiedyś indziej to by nie przyszli ci, co teraz przyjdą. I będzie nas wreszcie tak dużo. - A będziecie jakies hasła mieć? - Nie, no hasel nie. Mówili, żeby nie. Znacząy tobie mogę powiedzieć, nie możemy w ogóle nic krzyczeć ani nic. Cichutko. - Dlaczego? A transparentki? Pochodnie? Opaski na rękawach? A w ogóle gdzie ty masz swój strój, szelki czy tam jak to się nazywa...? - Koalicjka... No nie pozwolili, bo pokazą i będzie, że to my... - A wy to nie wy? - No my, ale wiesz, oni by chcieli pokazać, że to my, i nas ujawnić, więc my nie możemy iść jako my, tylko jako nie-my. Transparenciki na dziatek kazali zakopać. Nie bracie. Pochodni też nie. To już nie te pochodny, wiesz. Wyglądamy jak jakies pedaty w tych marynarkach, z kwiatami, a wzięliby się wiesz... żeby tamtych... żeby mores był. Ziemiakiewicz napisał na nich donos. - Na kogo? - Na policję napisał, na prokuraturę, do Urzędu Ochrony Konstytucji... - Ale to w Niemczech??? - No, bo to Niemcy. - Ty, polski faszysta, donosisz do niemieckiej policji politycznej na niemieckich antyfaszystów, o których wiesz od policji niemieckiej! - No wiesz, ale oni tu przyjeżdżają prosto z Rzymu, który spalił i z tego Oxford Street... - Wall Street. - No, Wall, i my musimy ich zmusić, żeby wyjechałi. Żeby Polska była polska. - A nie jest? - No wiesz, jak jest. Ci Żydzi, Arabusy, feministki, pedałuchy, Cyganie, czarini, Czecczeni, bezdomni, wszystko to się tu panoszy... Musimy jako biała cywilizacja, z dumą, tego, odeprzeć to. - To spadam na blokadę. - Co?? O zesz ty, k... anarchopedał, czarny Żydzie, jak ci p... to ja ci zaufalem, a ty mnie, ja, ja. - Nie krzyż. Nie wolno. - Ano tak, sorry, sam ci mówiłem. Mniej blokady. - Nie zrewanżuję się.

IPAD Archiwalne numery 'Przekroju' można (e) nawet powinno się przesyłać na www.przekroj.pl oraz w aplikacji 'Przekroju' na iPadzie dostępnej w App Store

PRZEKROJ, 2 11 LISTOPADA 1979 ROKU

PRZEKROJ, 2 10 LISTOPADA 1957 ROKU

Fot. BogdanKrezel.com

WIERZYSZ W MIŁOŚĆ OD PIERWSZEGO WEJRZENIA?

Czy kiedykolwiek widziałeś coś takiego? Czy kiedykolwiek dotykałeś czegoś podobnego? Jest oszałamiająco piękny. Ultraszukty, ultralekki, ultraszybki.

Oto Ultrabook™ z procesorem drugiej generacji Intel® Core™ i5.

Jest gotowy do pracy w 2 sekundy, może pozostawać w stanie hibernacji aż do 2 tygodni, a system audio SonicMaster

zapewnia niezrównany dźwięk. Poznaj najbardziej

niesamowity Ultrabook™ – ASUS ZENBOOK™

– i zakochaj się od pierwszego wejrzenia.

